

TYGODNIK ILLUSTROWANY



BAJKA

Karton odznaczony nagrodą Tygodnika ilustrowanego na konkursie Tow. Art.

KAZIMIERZ WASILKOWSKI

Czego powinniśmy żądać od nauczycielek?

Jeszcze o wychowaniu domowym słów kilka.

A jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Ilustrowanego“ poruszono ważną sprawę: „Czego powinniśmy żądać od wychowania dziewcząt?“

Jako uzupełnienie tej kwestii pozwalam sobie poruszyć drugą: Czego powinniśmy żądać od nauczycielek i jakie względy powinny kierować rodzicami w wyborze osób, którym swe dzieci powierzają?

Autor czy autorka poprzedniego artykułu twierdzi słusznie, że „najpospolitszą wadą wychowania domowego jest przypadkowość i brak jednolitego, logicznego systemu.“

Nie jest-że to wynikiem częstej zmiany nauczycielek? Każda nowa usiłuje wprowadzić swój system. Każda prawie nauczycielka używa innych podręczników, a rzadko się zdarzy, aby rodzice sami nakreślali plan nauk i przestrzegali wykonania programu. Stąd owa dorywczość. Ale są inne jeszcze braki. Wiele nauczycielek nie wprowadza żadnego systemu, ot po prostu „zadają stąd dotąd“, nie zawsze nawet umiając wytłumaczyć o co chodzi.

Bo jakie my mamy nauczycielki po wiejskich dworach i miastach? Najlepsze siły skupiają się w Warszawie i większych miastach prowincjonalnych, gdzie mają pracę miłą i popłatniejszą bez konieczności przebywania w obcym domu; siły gorsze, a nawet zupełnie marne, wyjeżdżają na prowincję. Zdarzało mi się często poszukiwać nauczycielek dla znajomych, więc miałam sposobność przyjrzeć się licznym ich zastępom.

Wykształcenie, ogólny rozwój umysłowy, pojęcia o wysokości posłannictwa pozostawiają do życzenia bardzo wiele. Miałam do czynienia z rozmaitemi: młode i przystojne zapytywały przedewszystkiem, czy okolica jest ludna i wesoła; starsze: czy będą miały pokój osobny, czy kuchnia obfita i zdrowa; ani jedna nie okazywała zainteresowania się swoim „fachem;“ było widać, że go wybrały *faute de mieux* i sprawują byle zbyć z większym lub mniejszym, a często z mniejszym, uzdolnieniem zawodowym.

Może źle traflałam, choć pierwszorzędne biura nauczycielskie nadsyłały mi osoby, polecane „gorąco.“ Mam i chęć mieć nadzieję, że to są wyjątki, więc nie uogólniam, choć i w domach znajomych na wsi częściej widywałam okazy ujemne niż dodatnie. Smutne to, ale prawdziwe: do nauczycielstwa „biorą się“ nieraz osoby, nie lubiące tego zawodu, a podejmujące go dlatego tylko, że „nie innego nie umieją.“

Żeby uszyć parę butów, trzeba mieć wiadomości fachowe, ale dla kształtowania umysłów i serc młodzieży wystarcza „pozostać bez środków utrzymania,“ umieć trochę po francusku, grać byle jak na fortepianie, lub co najwyżej ukończyć pensję z patentem.

Nic nad to nie trzeba, ani przejęcia się wielkością posłannictwa, ani ukochania za-

wodu, ani daru trafiania do serc młodocianych.

Jedna widzi w tem środek zdobycia kapitaliku, druga, ucząc konjugacji, myśli, jak prędko się to skończy i czy rychło uda jej się wyjść za mąż.

Cóż dziwnego, że nauka, podawana w takiej postaci, nie może zainteresować uczennic, że pozyskują one wiadomości, które są im zgoła obojętne, o których nie myślą po za obrębem lekcji, które nie przyczyniają się bynajmniej do ich umysłowego rozwoju. Te wiadomości chowane są jakby w osobnych szufladkach, a właściwie skrytkach, do których nie zagląda się nigdy dla własnej przyjemności, lecz po to tylko, aby się przed ludźmi popisać.

Jakież rezultaty może dać podobne wykształcenie? Czy zdoła wpłynąć na podniesienie poziomu uczuć, na rozszerzenie poglądów?

O ile wiedza idzie do lasa, a myśli do Sasa, nie może być mowy o istotnym pożytku duchownym. Umysł wzbogaca się tylko wtedy, gdy dziecko po za obrębem lekcji myśli o tem, czego się nauczyło. Jeżeli myśli—to zasługa nauczycielki, w razie przeciwnym—jej wina.

Bez wątpienia, bywają dzieci niezdolne, obojętne na wszystko, ale to wyjątki; w każdym niemal można jakieś zamilowanie wykrzesać; chodzi tylko o to, by chcieć i umieć, a za mało mamy nauczycielek zdolnych i chętnych.

Lepiej wychowanie dzieci powierzyć osobie mniej wykształconej, lecz oddanej swemu zawodowi szczerze, bo taka wypełni podręcznikami własne kroki; najgorszymi są nauczycielki „indifferentki,“ nie lubiące dzieci, nie interesujące się swoim zawodem.

Brak sumienności—to nasza wada ogólna, nigdzie jednak nie sprowadza tak smutnych owoców, jak w kształceniu młodzieży. Na co się zda największa bodaj erudycja, jeśli niema poczucia obowiązku, chęci przełaniania w młode umysły nie tylko wiedzy, lecz i zamilowania do niej?

Że nauczycielkom Polkom dużo zarzucać można, to prawda; o wiele gorzej jednak

przedstawia się sprawa, gdy mamy do czynienia z cudzoziemkami.

To szarańcza, zaćmiewająca umysły naszych dziewczątek. Wiele się czyta o wyższym wykształceniu kobiet we Francji; czy daje ono plony obfite, nie wiem; to tylko mi wiadomo, że jednostki, przybywające do nas, pod względem rozwoju umysłowego i zapasu wiedzy stoją niżej od naszej pensjonarki z czwartej kiasy.

Rozumiem jeszcze—choć nie bardzo—przyjmowanie bon Francuzek, ale po co nam nauczycielki Francuzki? Mania cudzoziemczyzny, tak rozpowszechniona u nas do niedawna, zmniejsza się znacznie w Królestwie Polskim, natomiast za Bugiem, gdzie postęp kroczy powoli, ta mania znajduje się prawie w tem stadium, co za czasów Stanisława Augusta.

Każdy „szanujący się“ dom obywatelski musi mieć do swych córek nauczycielkę Francuzkę. Taka „institutrice,“ która we własnym kraju mogłaby najwyżej być boną do 8-letnich dzieci, tutaj „wykłada“ wszelakie przedmioty, nawet te, których nazwy nie rozumie, czerpiąc z takiego źródła wiedzy, jak strupieszale „Cahiers d'une Elève de St. Denis“ lub podręcznik pani Amable Tastu.

Znałam jedną, która przed dwoma laty uczyła dzieci, że stolicą królestwa Włoskiego jest—Florecya. Tak ją uczono swego czasu, wypadki świata interesowały ją tak mało, że do wiadomości jej nie doszło zagarnięcie Rzymu Papieżom.

Pragnę przytoczyć jeszcze jeden przykład jaskrawy, a tak dalece autentyczny, że zdarzył się mnie samej. W dziecinnych latach (szczęściem krótko bardzo)—miałam nauczycielkę Francuzkę, która twierdziła, że Egipt jest—w. Azji; gdy jej mapą udowodniłam tę drobną pomyłkę, tłómaczyła się, mówiąc, że była dawniej wykształcona, ale po tyfusie straciła pamięć zupełnie.

Za te resztki wiedzy, ocalone wśród ogólnego zaniku władz umysłowych, pobierała 500 rub. rocznie i kształciła panienki w „najpierwszych“ domach nad Dnieprem.

Czyż nie szkoda pieniędzy, czyż nie żal biednych główek, przeładowanych regułami syntaksy francuskiej i nazwami departamentów?

Co przyjdzie z takich wiadomości? Co przyjdzie z biegłego wysławiania się po francusku? A ile szkody przyniesie taki system edukacyjny? Jak zgubnie odbije się na całym życiu późniejszym? Panienka, w ten sposób kształcona, nie może zasmakować w nauce, „odrabia“ lekcje, a po za ich obrębem myśli tylko o rzeczach poziomych.

Panuje w sercu pustka, zapełniana *flirtem*, pogonią za mężem, za brylantami i strojami.

Uznając zatem słuszność uwag, czynionych artykule p. J. K., dodam: Najważniejszą sprawą w wykształceniu domowym dziewcząt jest—rozumny wybór nauczycielki.

F. Ż.



Z tygodnia na tydzień.

Adwent.

Śnieg się kłębi wśród uliczek,
Tumanami bije w oczy;
Jak tysiące jasnych świeczek,
Skrzy kobierzec gwiazd uroczy.
Zda się czarem krople rosne
Oteźwały, jak z kryształu...
Dajcie młodość... dajcie wiosnę...
Dajcie słońce ideału!...

Zakochanych sunie para
Tym zimowym cichym zmrokiem;
Zda się, pełna tryska czara
Świętem szczęściem i urokiem.
Słyszysz skargi jej żałosne?
„Ach! mróz stłumi płomień szału!...”
Dajcie młodość... dajcie wiosnę...
Dajcie słońce ideału!...

Jeszcze ciemno na lazurze,
Jeszcze cicho w starym grodzie,
Chwiejna postać mknie w lisiurze,
Za nią w kunach ktoś w odwodzie.
Zgiął czas chyży chłopca—sosnę
I dziewicę zgiął pomału...
Dajcie młodość... dajcie wiosnę...
Dajcie słońce ideału!...

Na roraty ciągną owi.
Ach, roraty! ach, przed laty!
Kiedy, wzorem złotogłowi,
Świat przybierał cudne szaty!
On jej słówka słał miłosne,
Ona drżała od zapału...
Dajcie młodość... dajcie wiosnę...
Dajcie słońce ideału!...

Gdzieś wysoko na facyacie
Nad księgami staruch marzy,
Noc zapada w srebrnej szacie,
Anioł smutku trwa na straży.
I wspomnienia bezlitosne
Burzą złudzeń gmach pomału...
Dajcie młodość... dajcie wiosnę...
Dajcie słońce ideału!...

Biorą domy suknie świetne,
Stare domy w Mieście Starem,
Co przeżyły lata setne
I przeszłości dyszą gwarem.
Jakieś echa drżą żałosne,
Dzwoniąc, jakby dzwon z kryształu...
Dajcie młodość... dajcie wiosnę...
Dajcie słońce ideału!...

A w izdebce u śpiewaka,
Co ma serce, jak płomienie,
Krażą cichym lotem ptaka
Jakieś widma, jakieś cienie.
To uśmiechy lśnią miłosne,
To krzyk męki lub zapału...

Dajcie młodość... dajcie wiosnę...
Dajcie słońce ideału!... [ne...
A lutnista ciśnie skronie,
Co pękają od marzenia,
I wyciąga do mas dłonie:
Chce je wskrzesić do istnienia!
Smaga życie bezlitosne,
Spycha z niebios w otchłań
[kału...
Dajcie młodość... dajcie wiosnę...
Dajcie słońce ideału!... ao



Książka.

Otrzymaliśmy prospekt nowego miesięcznika, poświęconego bibliografii krytycznej p. t. „Książka.”

Ze organ taki był potrzebny—to kwestyi nie ulega, gdyż wobec wzrastającej ciągle produkcji literackiej, pisma treści ogólnej, poświęcające tylko pewien dział krytyce, nie mogły poprostu podjąć zadania i informować czytelników o całym ruchu wydawniczym.

Otóż „Książka” zapełni tę lukę, będzie bowiem, prócz bibliografii, podawała treściwe, fachowe i przedmiotowe oceny *wszystkich* dzieł, publikowanych w języku polskim, a co najważniejsza będzie je podawała niebawem po wyjściu książek, dając, jak zapowiada prospekt, „bezzstronny i przedmiotowy obraz polskiego życia literackiego w odpowiednim okresie czasu.”

Redakcję miesięcznika objął p. Maryan Massonius, pisarz nie tylko gruntowny, ale—co w danym wypadku jest rzeczą ważną—bezzstronny, rzetelny i niezależny. Wśród współpracowników znajdujemy nazwiska autorów, którzy oddawna uprawiają niwę działalności krytycznej.

Mamy więc nadzieję, że „Książka” podoła trudnemu zadaniu, które podejmuje, i że zarówno wśród czytającego ogółu, jak i wśród literatów, wydawców i księgarzy, znajdzie zasłużone poparcie, zwłaszcza, że wnosząc z bajecznie niskiej ceny prenumeracyjnej, nie będzie ona przedsiębiorstwem spekulacyjnym.

Nowemu towarzyszowi pracy życzymy z całego serca—powodzenia!



Jubileusz wirtuoza.

Słucham rozmów w salonie.

— Jutro koncert. Będzie pan?...

— A kto gra?

— Michałowski!

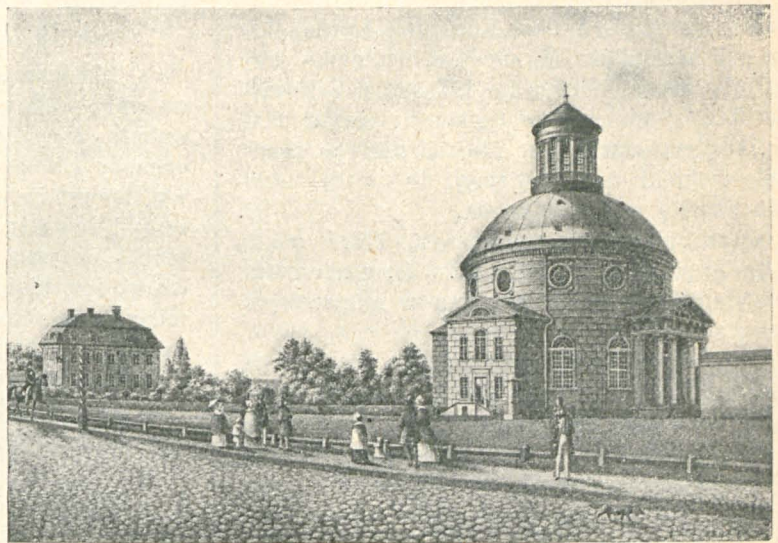
— Idę bezwarunkowo.

Spotyka się dwóch znajomych na ulicy.

— Jutro gra Michałowski!—woła jeden z nich, witając się w przelocie: — spotkamy się na koncercie.

— Rozumie się, naturalnie!—woła drugi.

I tak dalej, i tak dalej: zawsze imię Michałowskiego wywiera u nas wpływ niepospolity; ci, którzy mają czas, zarówno jak i ci, którzy go nie mają, zapełniają szczerze salę koncertową, ile razy ulubiony wirtuoz ma zasiać przy fortepianie. I zawsze wszyscy wychodzą pod wrażeniem silnem, wypowiadając



Plac Ewangelicki w Warszawie w roku 1855.
(Na prawo, gdzie parkan, mieści się dzisiejsza siedziba T. Z. S. P.)

mnóstwo sądów, które dadzą się streścić w jednym, ale dosadnym określeniu: Michałowski gra czarująco.

Istotnie, od lat wielu stał się on u nas naj-

ulubieńszym, najpopularniejszym muzykiem—wykonawcą, stał się „atrakcją” wielką koncertów publicznych.

Czy zasługuje na uznanie, jakim się powszechnie cieszy?

Bezwarunkowo i najzupełniej.

Techni-

ka, doprowadzona do doskonałości nadzwyczajnej, lekkość

i miękkość uderzenia, cieniowanie bardzo artystyczne—oto są cechy gry Michałowskiego. Jego pasaże rozsypują się w sznur pereł tęczowych, jego akordy pieszczą ucho jedwabistością tonów.

Sława Michałowskiego, jako wirtuoza pierwszorzędnego, jest oddawna ustalona, i znawcy jednogłośnie przyznają mu rzadkie a cenne zalety, które wymieniliśmy. Pod tym względem chyba niema dwóch zdań.

Obecnie przypominamy tę sławę znanego fortepianisty i prawa niezaprzeczone, jakie do sławy posiada, z tego powodu, że w roku bieżącym ubiega właśnie 25 lat od czasu, kiedy Michałowski po raz pierwszy wystąpił przed publicznością warszawską.

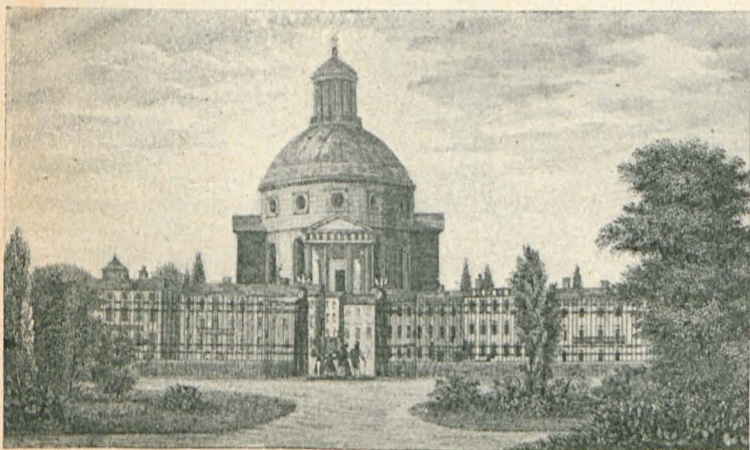
Przypomnienie to ma być przeto obrachunkiem z tego, co wirtuoz zdziałał przez ćwierć wieku.

W roku 1875 Aleksander Michałowski, po ukończeniu studyów za granicą, powrócił do kraju, aby tutaj pozostać i pracować nadal na niwie ojczystej.

Wtenczas odbył się pierwszy jego występ w Towarzystwie Muzycznem, pierwszy krok do sławy u swoich. Od tego czasu Michałowski ani



Aleksander Michałowski.



Kościół Ewangelicki w Warszawie przed r. 1830, widziany z Ogrodu Saskiego.

na chwilę nie ustawał w pracy, doskonaląc się w sztuce swojej coraz bardziej.

Jednocześnie rozpoczął i działalność pedagogiczną. Liczni uczniowie, wydoskonaleni pod jego kierunkiem, zasłynęli również jako wyborni muzycy-wykonawcy.

Michałowski urodził się w roku 1851. Studya muzyczne odbywał w Konserwatorium lipskim pod kierunkiem Moschelesa, następnie pracował jako uczeń Reineckego i Tausiga. Bez wątpienia, Tausig miał wpływ na swego ucznia; zdaje się, że jemu zawdzięcza Michałowski to zamiłowanie techniki nadzwyczajnej, tę pracę ustawiczną nad jej udoskonaleniem.

Lipsk był pierwszym miastem, które miało sposobność słyszeć młodego wirtuoza: grał on tam po raz pierwszy koncert Chopina w miejscowym Gewandhausie w r. 1869.

Dziś, kiedy ulubiony wirtuoz rozpoczyna drugie ćwierć wieku działalności owocnej, śpieszymy i my złożyć mu życzenia, aby sława jego szła coraz szerzej po świecie, dodając do zdobytego już uznania powszechnego coraz nowe warzyny.

✂

Jubileuszowe przedstawienie „Halki.”

W poprzednich numerach „Tygodnika” zaznaczyliśmy, że w dniu 9-ym grudnia odbędzie się

500-ne przedstawienie jubileuszowe Moniuszkowskiej „Halki.”

Każdy, kto zdawał sobie sprawę z tej czei niezmierniej, jaką cały naród żywi dla pamięci mistrza muzyki polskiej, mógł z góry przewidzieć, że przedstawienie to przybierze cechy uroczystości niezwyklej.

Tak też stało się rzeczywiście.

Wienieczenie popiersia Moniuszki, ustawione go wpośrodku sceny na wysokim cokole, wśród zieleni i kwiatów, było punktem kulminacyjnym obchodu. Nastroj zapanował tak podniosły i tak wyjątkowy, iż zdawało się, jakby duch mistrza zstąpił pomiędzy kochającą go głęboko rzeszę ludzką i ożywił wszystkich wielkim zapałem. Przy dźwiękach wiązanki motywów, ułożonej z oper mistrza, do stóp pomnika improwizowanego szły korowodem długim postaci charakterystyczne arcydzieł Moniuszki i składały w hołdzie liście palmowe. Grupy te okrążyły scenę i ustawiły się w półkole, tworząc dokoła pomnika żywy wieniec chwały.

Zapał panował powszechny. Chór, śpiewający podniosłą i wspaniałą kantatę, potok żywego kwiecica, spływający z nad sceny na popiersie, artyści, składający wieniec u stóp posagu, wreszcie widownia, ogarnięta szaleńcem czei i uwielbienia, sy-

pięca potop kwiatów na scenę—wszystko to złożyło się na chwilę, dotychczas niebywałą w historii teatru naszego.

Inny znów moment: po burzach oklasków podnosi się kurtyna. Na scenie cisza. Artyści znikli, pozostał tylko posąg mistrza, spowity w kwiaty i wieniec, zatopiony w zieleni.

Uwydatniamy na tem miejscu zaledwo kilka chwil z obchodu, chcąc zaznaczyć, że zarówno teatr w całym swym składzie obecnym, jak i publiczność zrozumiała należycie znaczenie uroczystości.

O samem przedstawieniu „Halki,” które dnia tego odbyło się dwukrotnie, napisze nasz sprawozdawca. Przypominamy tylko, że teraz „Halka” na scenie naszej przyodziana jest w nową szatę. Obsada jej obecna nie pozostawia do życzenia.

Wobec zbliżających się świąt Bożego Narodzenia wiele biednych rodzin zgłasza się do nas z prośbą o zapomogę. W ich imieniu zwracamy się do naszych czytelników, polecając ludzi ubogich pamięci tych, dla których życie jest cięższe. Chodzi o ofiary, choćby najdrobniejsze, dla najuboższych. W rozdawnictwie ofiar chętnie możemy pośredniczyć.

Ze świata malarskiego.

W DNIU OTWARCIA GMACHU T. Z. S. P.

✂

Nareszcie sztuki plastyczne doczekały się własnej siedziby i nie będą już, niby kopcuszek społeczeństwa, wycierały kątów zamożniejszych krewnych.

Dzięki życzliwym ustępstwom magistratu, który udzielił placu, zabiegliwości Zarządu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, oraz pracy fachowej architekta pa-

na Szyllera, powstał gmach okazały, na którym już bez wszelkich zastrzeżeń wypisać można było: „Artibus,” w którym istotnie sztuki zapanują wyjątkowo i niepodzielnie, a

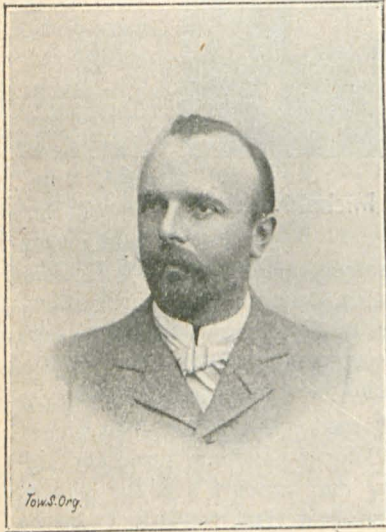
malarstwo nasze, rzeźba i architektura znajdą przecież najniezbędniejsze warunki wygody i komfortu. Powiadam — warunki najniezbędniejsze, gdyż niestety cały szereg mniej sprzyjających okoliczności krępował najlepsze chęci twórców tego przybytku sztuki i nie pozwolił na dźwignięcie dla niej monumentalnej w całym tego słowa znaczeniu świątyni, gdzieby wśród labiryntu olbrzymich galeryi, fantastycznych krużganków, barwnych kwietników, bogatych komnat o malachitowych kolumnach, o ścianach z porfiru i chryzolitów, lśniących od złota i kryształu, jak w czarowanym pałacu z bajki, mogły z prawdziwie

monarszym przepychem królować trzy te boskie siostrzyce; — zrobiono przecież wszystko, co przy szczupłości funduszy Towarzystwa zrobić się dało, aby zapewnić naszej wytwórczości artystycznej przytułek, jakiego oddawna jej brakowało.

Rzeczywiście p. Szyller w planie swoim z godną podziwu pomysłowością wyzyskał niewielki i niezupełnie foremny plac, a Zarząd Towarzystwa skromnymi środkami wznosił gmach trwały i nader artystycznie przystrojony.

Oczywiście, względy oszczędnościowe stały się przyczyną pewnych odstępstw od tego, co powinno stanowić o monumentalności tego rodzaju budowli. I tak, na przykład: Tympanon i trzy pięk-

ne kompozycje rzeźbiarskie p. Otto, rozwinięte na archiwoltach okiennych, a symbolizujące zarazem trzy epoki w rozwoju sztuki: starożytność, wieki średnie i renesans, tudzież malarstwo, rzeźbę i architekturę—wykonane są w cemencie. Tak też mają być wykonane grupy frontowe tego artysty, wyobrażające Wita Stwosza i Jana Matejkę, jako najpotężniejszych przedstawicieli naszej rzeźby i malarstwa. Otóż dziś, kiedy jeszcze nie przystąpiono do tej roboty, zwracamy się do Towarzystwa ze skromną uwagą: czy nie właściwiejby było poświęcić odrazu nieco więcej grosza i wykuc grupy w kamieniu, niż odlewać je w cemencie, co zawsze musi mieć cechy pewnej prowizoryczności?



Stefan Szyller.



Fot. J. Golecz.

Gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

Uwaga ta nasuwa się tem natęczywiej, iż znając kompozycje p. Otto z urzędzonej swego czasu wystawy prac konkursowych, śmiało twierdzić można, że zasługują na wszelkie względy, jako utwory ze wszech miar artystyczne.

Zresztą sprawa ustawienia grup frontowych, wobec konieczności zamaskowania niemi otworów w pilonach bocznych, staje się sprawą bardzo pilną. Są tam mianowicie wyloty kanałów wentylacyjnych, które swemi czarnemi, jak puste oczodoły, dziurami, do czasu ich zasłonięcia szpecić będą ogólny wygląd frontonu. Znając jednak dzielność zarządu, na chwilę nie wątpimy, iż ludzie, którzy w trudnych warunkach, a przecież szybko i pomyślnie potrafili przeprowadzić wielkie dzieło, jakim jest istotnie postawienie gmachu dla sztuki polskiej, łatwo i w najkrótszym czasie usuną te drobne niedokładności.

Rzeczywiście niepodobna nie uznać zasług, jakie około tej tak pożytecznej i tak koniecznej instytucji położyli obecni członkowie zarządu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Przedewszystkiem najszczerzyzjy dank od tych

wszystkich, których losy sztuki obchodzą, należy się stanowczo prezesowi doktorowi Ben-niemu. On to, ujawniwszy ster całej sprawy, na chwilę o niej nie zapomniał, on przeprowadzał trudne kombinacje natury finansowej i administracyjnej, sam osobi-



Dr. Karol Benni.

ście zjeżdżał na miejsce budowy, doglądał robót, interesował się najdrobniejszymi szczegółami, jednym słowem: oddał się temu całemu sercem i duszą. Znalazł też, co prawda, dzielnych pomocników w osobach pana A. Goebela i Fr. Ejsmonda, obecnego gospodarza Zachęty; i stało się, że za sprawą sił tak połączonych, w chwili, kiedy niniejszy numer „Tygodnika“ opuszcza prasy drukarskie, Towarzystwo Zachęty otwiera już podwoje swego nowego gmachu wystawą inauguracyjną.

Właściwie wzniesiona obecnie budowla, a przeznaczona specjalnie na wystawy, jest tylko połową całości, nakreślonej w planie p. Szyllera. Druga połowa, której budowa, na pozostałej części placu, aż do tak zwanej alei kasztanowej, po zburzeniu istniejącego tam domu, ma być rozpoczęta z wiosną przyszłego roku i mieścić w sobie będzie stałe muzeum Sztuk Pięknych.

To też boczne elewacje gmachu, widziane od ulicy Królewskiej i Erywańskiej, nie imponują wspaniałością, czuć w nich bez zaprzeczenia owo niedopowiedzenie myśli architektonicznej.

Za to elewacja frontowa od strony skweru przy ulicy Mazowieckiej, rozwinięta całkowicie, wygląda bardzo estetycznie. Wzniesiona jest w stylu odrodzenia włoskiego, zresztą bardzo w szczegółach zmodernizowanego. Ryzalit środkowy z klasycznym tympanonem, spoczywającym na dwóch szerokich pilonach i dwóch potężnych kolumnach o pięknych liściastych kapitelach, nadaje budowli charakter poważny, odpowiedni celom, do których jest przeznaczona.

Długość frontu wynosi 85½ łokcia; wysokość do gzymsów 30½, wysokość ze szczytem 36½. Boczne elewacje mają dziś tylko po 37½ łokcia

długości, z czasem jednak całość gmachu tego utworzy kwadrat prawidłowy, i wtedy dopiero kompozycję architekta będzie można w całej pełni ocenić.

Najpilniejszą wszakże sprawą było zapewnienie artystom polskim miejsca, gdzieby dzieła swoje w korzystnym świetle wystawiać mogli. Otóż sprawę tę załatwiono jak najpomyślniej.

Po kilku kamiennych schodach dostajemy się do obszernego westybulu, z którego drzwi na prawo prowadzą do kasy, kancelaryi i pokoju sekretarza.

Na lewo wielka sala rzeźb, a za nią biblioteka, w której też odbywać się będą ogólne zebrania członków Towarzystwa. Za biblioteką w komunikacji bezpośredniej z westybulem jest jeszcze spora komnata, przeznaczona na szatnię.

Sień i sale parterowe mają około dziesięciu łokci wysokości.

Wspaniałe marmurowe schody, opatrzone baryerą z kutego żelaza, wytwornej ślusarskiej roboty z zakładów p. Gostyńskiego, prowadzą na piętro do sal wystawowych. Tam, z prawej strony znajduje się duży salon z górnem oświetleniem wysokości 14 łokci, gdzie wystawiane być mogą obrazy wielkich rozmiarów. Z lewej, nieco mniejsza sala, również z góry oświetlona i również wysoka, daje wejście do pokoju, gdzie światło wpada z boku, lecz od strony północnej, więc najkorzystniejsze dla malarstwa. Dalej ciągnie się szereg pokoi w liczbie trzech z oknami od strony wschodniej. W ostatnim z nich, który ma połączenie z wielkim salonem, jest jedno okno



Franciszek Ejsmond.

południowe, ale to, wobec wystarczającej ilości światła z innej strony, może być bez szkody zasłonięte i nie narazi obrazów na niepożądane zetknięcie się z promieniami słonecznymi, jak to było stale dotychczas w Resursie Obywatelskiej.

Zdaje się, iż w stosunku do naszej produkcji artystycznej, ściany tych salonów okażą się najzupełniej wystarczającymi, a warunki wystawowe, zwłaszcza w salach z górnem światłem, nie pozostawiają absolutnie nic do życzenia.



Artur Goebel.

trzebne do najdrobniejszych szczegółów. Jest, na przykład, w sali na piętrze nad podwórzem, do którego wjeżdża się od ulicy Królewskiej, długa szpara w podłodze: przez szparę tę mają być windowane obrazy wprost z podwórza, co ogromnie ułatwia wprowadzanie zwłaszcza większych płócien, zwijanych na wałki. Z podwórza znowu odpowiednio do celu zbudowane schody prowadzą do piwnicy, gdzie mają być składane paki po obrazach i wogóle wszelkie na razie niepotrzebne sprzęty.

Z prawej strony gmachu, bliżej ulicy Królewskiej, są jeszcze schody, że tak powiem, kuchenne. Te prowadzą na dole do pokoi kancelaryjnych, dając im drugie wyjście, na drugim zaś piętrze do mieszkania kustosza i do pracowni, w której dla artystów malarzy i rzeźbiarzy stać będzie model, opłacany kosztem Towarzystwa Zachęty.

Pozatem są rozmaite inne ubikacje, zastosowane do potrzeb wystawowych i społecznych wymagań wygody, jak pokój przeznaczony na doraźne poprawki i werniksowanie obrazów, także pokój dla rzeźbiarzy, schowania, składy, całe urządzenie kaloryferów, bardzo skomplikowana wentylacja, mieszkania woźnych, stróża i inne, których szczegółowo opisywać niepodobna.

Natomiast chciałbym słów kilka powiedzieć o dekoracji gmachu, bo strona ta pozostawia jeszcze wiele niedomówień.

Oprócz braku grup frontowych, o czym już wyżej pisałem, niema jeszcze figur projektowanych u podstaw słupów schodowych, jak również brakuje wazonów lub czegoś podobnego na samych słupach; pozostają też do wypełnienia płaskorzeźbą przestrzenie nad arkami nisz w westybulu. Niema zupełnie kompozycji malarskich, dla których p. Szyller w kompozycji architektonicznej pozostawił odpowiednie pola. Więc zewnątrz szerokie płaszczyzny na bocznych elewacjach, a wewnątrz szereg wnęk w klatce schodowej świecą jeszcze pustą powierzchnią.

Naturalnie dekoracje takie mogą być wymalowane później, jak zresztą, w co wierzyć należy, z czasem cały przybytek sztuki zaludni się posągami, zajaśnieje pięknymi malowidłami, które nie będą tam li tylko czasowymi gośćmi, lecz staną się stałą składową częścią gmachu.

Dziś po za pięknym tympanonem p. Otto, wyobrażającym skrzydatego geniusza w otoczeniu sztuk, tudzież trzech kompozycji nad oknami frontonu, jedyną ozdobą, jakoby organicznie związaną z budowlą, jest „Gładyator“ Piusa Welońskiego. Stał on w obszernej niszy, która się uformowała na pierwszej kondygnacji wschodów, to jest tam, gdzie się rozdzielają na prawą i na lewą stronę, otwierając widok od wejścia.

J. JAROSZYŃSKI.

ZA KULISAMI PANORAMY.

Podpatrzone.

Działo się w pewnym salonie literackim.

Mówiono o wielkiej panoramie Wojciecha Kossaka „Napoleon pod Piramidami“, do której malowania właśnie przystąpili nasi artyści.

— Pani widziała kiedy panoramę „w robocie?“ — zapytał mnie któryś z malarzy.

— Nie; marzyłam o tem dotychczas tylko: to podobno bardzo ciekawe...

— I, jak tym razem, łatwe do przeobrażenia marzeń w rzeczywistość. Chce pani? Jutro zaraz możemy ją przyjąć... w roboczych naszych negliżach...

Naturalnie chciałam, chciałam koniecznie.

Nazajutrz słońce muskało biały szron dachów i lizało cienkie sopły lodowe, gdy stanęłam przed parą lwów, strzegących wejścia do czerwonego gmachu przy ulicy Karowej.

Po stromych schodach (tydzień temu jeszcze była zamiast nich podobno tylko drabina) dostaliśmy się do wielkich drzwi oszklonych.

Lwy nie pogryzły mnie; żaden cerber nie powstrzymał u progu. Po zapyłonych deskach, po lśniących w słońcu wiórach i grudkach piasku, znalazłam się tuż pod pierwszym, przesuwaniem na kółkach rusztowaniem, na którym majaczyły dwie męskie postacie: jedna—gibka, zręczna, z olbrzymią paletą w ręku, druga—cokolwiek wyżej—tęga, zamaszysta, prosta, w popielatym płaszczu gumowym.

Z przeciwnej strony, na jeszcze wyższym rusztowaniu, jak orły na skale, widać było jasne i ciemne sylwetki: każda z pendzlem i paletą w ręku, wszystkie bardzo zajęte, nie zwracające uwagi, że ktoś wdarł się tutaj, mimo groźnych paszcz lwich, strzegących wejścia.

Nie zdołałam ochłonąć z wrażenia, jakie wywołał nagły widok chaotycznego wnętrza przygotowanej panoramy, gdy rzucono nam powitanie z bliższego rusztowania.

Zaskrzypiały lekko prostopadłe schody, poruszyła się i zachwiała cała klatka drewniana: dwaj artyści zeszli ku nam, zapraszając na wyżyny... z desek.

Za chwilę ujrzałam zbliżka większość współpracowników panoramy: Kossaka, Pułaskiego, Ryszkiewicza, Rozwadowskiego, Jasińskiego i Tańskiego.

Posypały się pytania i objaśnienia.

Wnętrze panoramicznego gmachu już całe

było okolone wielkim pokratkowanym płótnem, na którym majaczyły tu i owdzie w szkicach węglowych grupy nacierających na siebie postaci.

Od strony wejścia na lewo przy rusztowaniu uderzał szereg wypukłych barwnych wojaków francuskich, nad którymi pracowali właśnie Wojciech Kossak i Ryszkiewicz. Po drugiej stronie majaczył czubek jednej i boki drugiej piramidy, na które patrzyło niebo, już wykończone prawie zupełnie, cudne w swym przezroczystym błękitie, gdzieś tam tylko krepą białych obłoków przysłonięte.

— Ta cała część — objaśniał uprzejmy kierownik panoramy, p. Wojciech Kossak, wiodąc pendzlem od lewej strony ku prawej—będzie stanowiła główny punkt walki. Na mur bosej, obdartej armii francuskiej nacierają rozszalali mamelucy w całym przepychu wschodniego bogactwa i fantazji. Tu... ot już grupa figur zaczyna występować plastycznie... huzarzy Rzeczypospolitej francuskiej na dromaderach.

Wkrótce przystąpimy do odtworzenia grupy uczonych, których Napoleon wziął z sobą, chcąc nadać wycieczce swej charakter ekspedycji naukowej. Będą tu: Monge, Caffarelli i inni... niech się Pani nie śmieje... na osiołkach...

Tam... naprzeciwko... widownia spokojniejsza: główny nacisk położony już tylko na krajobraz... Rozpostarł też tam całkowicie panowanie swoje kolega Wywiórski.

— A gdzie jest pan Michał? Nie zobaczymy go dzisiaj?—przerwywam.

— Ot, ma go pani!

Od żelaznego piecyka, przy którym piekł właśnie na długim drążku serdelki, podążał ku nam nasz dzielny pejzażysta.

Ubranie na sobie miał koloru tęczy. Były tam centki barw świeżo zaczętej szarej piramidy i żółtego piasku pustyni i błękitów firmamentu.

Nad panoramą pracowały nawet i buty malarza, całe w seledynach skąpane.

Dogryzając resztki serdelków i bułek, pan Michał przywitał się z nami.

Zaczęliśmy mówić o Egipcie, gdzie przez całe lato Kossak razem z nim robili przygotowawcze studia, gdy wtem z belkowych wyżyn spadło ku nam błękitne zjawisko.

Był to Władysław Jasiński.

— Znać, że „robi w niebie,” prawda? cały na szafirowo! — zawołał któryś z malarzy.

Rzeczywiście. Wielki fartuch malarski stanął jakby jedną ciemno błękitną plamą, gdzie niedługo usiana białymi centkami, niby puchem obłoków. Rycerski Zbyszko z turnieju wcale nieźle wyglądał w tym stroju.

Stanęliśmy dokoła ogromnego stołu, zarzuconego stosem fotografii, papierów, serdelków, bułek, przyrządów malarskich.

Tuż obok widać było cztery wielkie kartony, zawierające szkice panoramy, pokratkowane i ponumerowane tak samo, jak rozpięte płótno.

Kratki i numery pomagały do zorientowania się w szczegółach, które ze szkiców trzeba było przenosić na płótno.

— Długo jeszcze potrwa praca nad panoramą?—spytałam.

— Na 1-y kwietnia skończymy ją zapewne. Tak chcemy przynajmniej. Pracujemy zaledwie kilka tygodni, a szkice główne i niebo już prawie zupełnie wykończone. W tych dniach oczekuję właśnie kolegi Jacka Malczewskiego, który obiecał wziąć na siebie wszystkie figury kobiece—objaśniał Kossak.

Rozmowa toczyła się wesoło, mimo stuku i huku młotów czy siekier w głębi podum.

— Czy tu panom zawsze tak przyjemnie, swobodnie?—spytałam.

— Mogę panią zapewnić, że humory mamy nie dla gości tylko, a wogóle trudno o miłszych, sympatyczniejszych i bardziej zgodnych współpracowników nad tych, jakich udało mi się zgromadzić przy obecnej panoramie — odparł Kossak.

Wysłałam, zapraszana serdecznie na przyszłość.

Ł. W.

Z niewydanych wierszy.



Wielka fabryka stoi pośród lasu...
Wieczór—i wyszli robotnicy dzienni,
Umilkło echo dziennego hałasu,
I coraz puściej, i ciszej, i senniej...

Ogień się tylko jeszcze w piecach żarzy,
I dym się wolno nad kominem wleczę,
Pod czarnem niebem kołysz się, waży—
I kształty jakieś przybiera człowiecze...

W myśli się snują senne krajobrazy,
Zagrobowego tak pełne nastroju,
Pełne księżycy, ciszy i pokoju,
Budzące w duszy mistyczne ekstazy.

I duch mój leci, senny a skrzydlaty,
Gdzieś ponad wody szerokie i mętne;
Skrzydła mu ciężą leniwe, niechętne,
A księżyc w mgliste go odziewa szaty...

Wody szeroko rozlane i czarne,
Głazy nad niemi dumają posępne—
A dalej puszcze, głuche, niedostępne,
Wielkie, tajemne, smętne i bezgwarne...

W białych oparach wieszając promienie,
Nad wodą sino trupi księżyc świeci,
A pod księżycem na mgłach cichych leci
Jakieś niejasne i dawne wspomnienie:

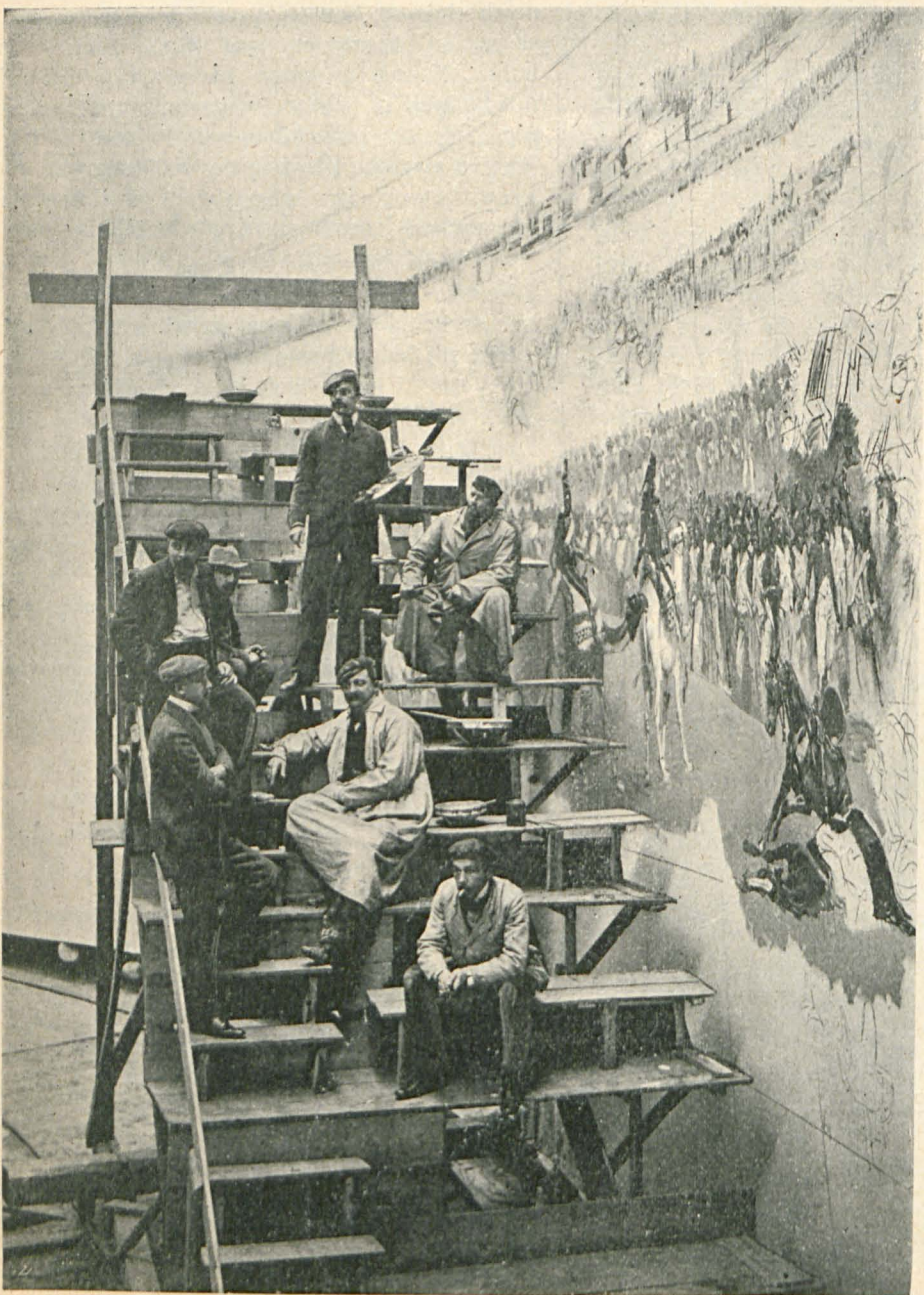
Wieczór i cisza... I róże płomienne,
Srebrne jaśminy i lilii kielichy,
Wonie pojące leją i wpółsenne,
A brzęk owadów z łąk zalata cichy...

Wieczór i cisza... We śnie, czy na jawie?
Mniejsza!.. Gwiazd pełne krzewów latorośle;
Po wodzie lśnią się dziwne oka pawie,
Perły z szelestem spływają po wiośle...

I jakieś usta nade mną schylone,
I dłoń na oczach mych alabastrowa,
Dobra i słodka... kwiaty—i pieszczony,
Od kwiatów miłsze, rozkochane słowa...

A wtem przede mną moja mara biała
Staje i kwiaty, z którymi się pieszczę,
Łamiąc, szyderczo, jak wąż sycząc, gada:
„Czekam i czekam, czyś nie gotów jeszcze?...”

JERZY ŻULAWSKI.



Grupa malarzy przy pracy nad panoramą.

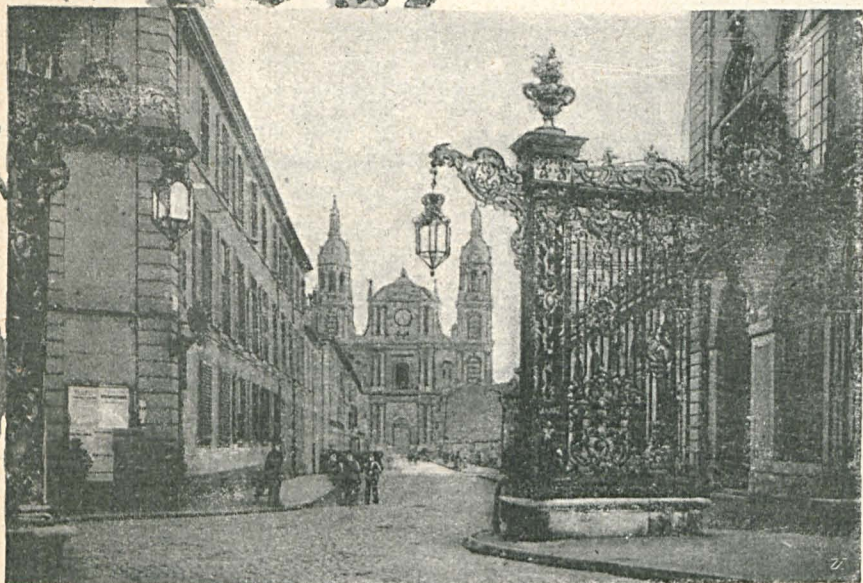
Fot. J. Golec.

M. Wywiórski. K. Pułaski. W. Kossak. J. Ryszkiewicz.
Z. Rozwadowski. Wł. Jasiński. Cz. Tański.

Aleksander Reimowski.

Wygnańcze losy Stanisława Leszczyńskiego.

51



Katedra w Nancy.

Ze strony też Francji, czy Fleury ego, wysła pierwsza inicjatywa pokojowego załatwienia sporu elekcyjnego w Polsce. Wszystko miało się naturalnie odbyć pod auspicjami i z natchnienia Ludwika XV. Monarcha Francji miał zezwolić na abdykację swego teścia, komedia elekcyjna od początku do końca powinna się była odbyć jeszcze raz

jeden, i dopiero w ten sposób ceremonialny miał wstąpić August III-ci na tron polski. Za odstąpioną niby dobrowolnie koronę, Leszczyńskiemu miano pozostawić tytuł i rangę króla polskiego, w jakimkolwiekby zamieszkał kraju. Dobra dziedziczne w dzierżawach Rzeczypospolitej powracano mu do użytku, a w dodatku Rzeczpospolita w nagrodę ofiarności decydowała się także niby dobrowolnie i własnowolnie na wyznaczenie Leszczyńskiemu dożywotniej pensji.

Leszczyński tymczasem po przejściu dosyć romantycznych przygód dostał się do dzierżaw Fryderyka Wilhelma I. Na względną życzliwość Hohenzollerna nieszczęśliwy wygnaniec mógł przynajmniej liczyć o tyle, że dla monarchów pruskich dom saski na tronie polskim był prawie niewygodniejszym od Leszczyńskiego. Fryderyk Wilhelm I pozostawił jednak Leszczyńskiego w zupełnej niepewności co do jego przyszłych losów i nie odpowiadał wcale ani na błagalne listy o przytułek samego Leszczyńskiego, ani na instancje, wnoszone za swoim teściem przez Ludwika XV-go. Trzeba przyznać, że również pozostał głuchym król pruski i na natarczywe upominania się Rosji, aby jej wydać Leszczyńskiego. Ostatecznie więc postanowiono mieć na oku wygnaniec, nie odmawiać mu w cichości gościny, ale nie przyznawać się jawnie do popierania w czemkolwiek jego sprawy. Istotnie też owej cichej gościny nie uczyniono zbyt przykłą i cierpką Leszczyńskiemu. Zaproszono go do Królewca, ofiarowano mu pałac królewski na mieszkanie i wypłacano po 300 talarów miesięcznie na potrzeby jego dworu. Jakkolwiek niewielka to była suma, jednakże wobec oszczędności przysłowiowej króla pruskiego oznaczała dużo uprzejmości i dobrych chęci.

Podczas pobytu Leszczyńskiego w Królewcu przerzedziły się szeregi jego zwolenników. Król, który objął rządy w rzeczywistości, miał daleko większą siłę przyciągania, aniżeli król tułacz. Zresztą wśród szlachty ostatnim ciosem dla sprawy Leszczyńskiego były pogłoski, że Ludwik XV, ażeby swemu teściowi uratować koronę polską, ofiarował Prusom za pomoc Warmię i Pomorze, t. j. te prowincje, które zagarnęły w r. 1772, a Turcyi Podole z Kamieńcem podolskim, który był uważany za przedmurze chrześcijaństwa. Leszczyński

ze swej strony czynił najrozsądniejsze propozycje królowi pruskiemu, dążące do pozyskanie jego pomocy wojskowej. Monarcha pozostał jednak głuchym na wszelkie aluzje czy otwarte przedstawienia, ale nie przestawał dawać dowodów współczucia Leszczyńskiemu. Fryderyk Wilhelma nużyły w gruncie rzeczy te wszystkie względy gościnności, pociągające za sobą przedewszystkiem dużo wydatków, ale przynajmniej pocieszał się, że dokuczy tem Augustowi III, którego nie cierpiał, nazywając pogardliwie Mantelsakiem.

W Królewcu doczekał się Leszczyński rzetelnej niespodzianki, jaką stanowiły odwiedziny następcy tronu, późniejszego Fryderyka II pruskiego. W gruncie rzeczy Kronprinz był wysłany przez ojca dla obznajmienia się ze stanem ekonomicznym i społecznym prowincji; przy tej sposobności, ciekawy młodzieniec uprosił sobie możliwość odwiedzenia w Królewcu króla tułacza, o którego filozoficznych pismach doszły go już uprzednio wiadomości. Młody Fryderyk oczarował otoczenie Leszczyńskiego nie tylko bogactwem własnych filozoficznych myśli, lecz i polityczną spowiedzią, w której wyznał, iż niczego więcej nie pragnie niż prowadzić wojnę łącznie z Francją. Jakimi były rozmowy Fryderyka z Leszczyńskim, prowadzone we cztery oczy, tego nikt nie wie, ale w każdym razie następca tronu oddziałł na wyobraźnię Leszczyńskiego nadzwyczaj podniecająco i literalnie nabił mu głowę mnóstwem najrozsądniejszych planów.

Garstka stronników, przerzedzona wprawdzie, wytrwała wiernie przy boku Leszczyńskiego w Królewcu, wierząc w to święcie, że nareszcie pomoc z Francji nadejdzie. Kardynałowi Fleury chodziło o to jedynie, ażeby w warunkach pokoju zyskać uznanie majestatu Leszczyńskiego, inaczej bowiem naraziłby swego monarchę na zarzut, iż się ożenił z córką zwykłej śmiertelnej niewiasty. O odzyskanie jednak polskiego tronu dla Leszczyńskiego nie troszczył się wcale, jako o taką rzecz, która Francji mogła jedynie przysporzyć wiele kłopotu. Agenci francuscy, kierując się instrukcją kardynała, grali też dalej grę podwójną, i gdy w Wiedniu dobijali pokojowego targu, poświęcając zupełnie sprawę Leszczyńskiego, w Królewcu pertraktowali bez przerwy z konfederacją, popierającą sprawę Leszczyńskiego, i łudzili ją kłamliwymi obietnicami.

Nareszcie nadeszła chwila, w której agent saski zawiadomił urzędownie Fryderyka Wilhelma I o blizkiej abdykacji Leszczyńskiego. Król pruski okazał się niezmiernie zdumionym i ze wzruszeniem miał wyrzec do otoczenia, że teraz już chyba nikomu zaufać niemożna. Stronnicy Leszczyńskiego pogrążeni zostali tą wieścią w zupełnej rozpacz, pokój bowiem, zawarty na podobnych warunkach, przynosił im prócz upokorzeń zupełną nędzę. Ludwik XV przyrzekł im swego czasu solennie, że nie opuści Rzeczypospolitej w złej godzinie; zawierzywszy królewskiemu słowu, poświęcili oni swe majątki, wielu i życie, a obecnie Fleury nie chciał myśleć nawet o marnej pomocy materyalnej, nazywając ją nierozsądną rozrzutnością. Taka polityka małego serca, którą się kierował rząd francuski, musiała do reszty zdemoralizować stronników Leszczyńskiego i przerzedzić jeszcze bardziej ich szeregi. Przynajmniej, że Fleury nie opuścił w tak sromotny sposób osoby Leszczyńskiego. Nużące swoją przewlekłością traktaty w Wiedniu ocaliły przynajmniej dla niego nominalne rządy Lotaryngii. Przyszły Fryderyk II, dowiedziawszy się o podobnych układach, nie mógł darować cesarzowi, że lenno niemieckie odstępuje Francji i pozwala jej się rozpościerać aż do Renu. Ale mało zwracano naówczas uwagi na niezadowolenie młodego Kronprinza i zdecydowano się osadzić Leszczyńskiego we francuskiej Lotaryngii.

Stanisław zyskiwał niewątpliwie lepszą pozycję materyalną aniżeli ta, jaką zajmował w Wissemburgu w pałacu Chambord. Pensja jego miała wynosić 1,500,000 lirów, a z czasem mogła urosnąć do 2 milionów. Samodzielności jednak w rządach nie pozostawiono mu żadnej, i zarówno pod względem wojskowym, jak i administracyjnym wszystkie reformy były obliczone na to, aby z Lotaryngii uczynić zwykłą prowincję francuską. Leszczyński, udając się z Królewca do Meudon, był zaproszony do Berlina przez Fryderyka Wilhelma I, gdzie go monarcha przyjmował ostentacyjnie w przytomności następcy

tronu oraz licznej świty. Obdarzono Leszczyńskiego licznymi prezentami, przyczem król pruski ofiarował mu pyszną karoce na dalszą drogę. Wspaniałe festyny, którymi cała rodzina królewska podejmowała Leszczyńskiego, obliczone były na dokuczenie Augustowi III i przekonanie go, że w Berlinie, mimo smutnej rzeczywistości, Leszczyński, nie August III, uważany jest za króla polskiego.

Z Meudon przeniósł wkrótce Leszczyński swą rezydencję do Lunevillu, i aby powiększyć swą pensję, sprzedał swe dobra dziedziczne w Polsce. Pragnął nawet namówić swą małżonkę na krok podobny, ale ta oparła się podobnemu żądaniu stanowczo. Co większa, Lotaryngia w ogólności, a Luneville w szczególności budziły w niej wstręt nieprzewidywany i pragnienie powrotu do kraju. Pragnienie to przeistoczyło się szybko w chorobliwą manię, która jej nie opuściła aż do śmierci. Śmierć zaś zjawiała się również niespodziewanie szybko, osamotniając jeszcze bardziej wygnane losy Leszczyńskiego. Mimo to nie opuściła go ani na chwilę nadzieja powrotu na tron polski.

Naprzemian wybierany i detronizowany, nie tracił nic ze złudzeń dawnych i żył wśród nich nieustannie, jak w zaklętym i zaczarowanym świecie, nie troszcząc się o szarą a często ciernistą rzeczywistość.

Po śmierci żony zaszła w Leszczyńskim nawet dziwna metamorfoza. Nie znosił on nigdy z cierpliwością jarzma małżeńskiego i utrzymywał jeszcze w Gdańsku zbyt poufale stosunki z jedną damą z magnackiego polskiego domu. W Lunevillu opowiadano sobie o rozmaitych słabostkach Leszczyńskiego i powtarzano słowa Ludwika XV, które miał wyrzec do otoczenia: „Obecnie teść mój nic mi nie ma do wyrzucenia.“ Sam Leszczyński nie tał się z zadowoleniem, które odczuwa na widok odzyskanej swobody. Pięćdziesięcioletnia niewola małżeńska dokuczyła mu do żywego. Przyrzekał sobie w duszy, że przy każdej sposobności powetuje sownie dawne wstrzemięźliwości. Córka, przestraszona owymi nienormalnymi objawami ojca, wpadła na pomysł stworzenia mu powtórnego małżeńskiego jarzma. Osobę odpowiednią wybrano, a była nią panna La Roche-sur-Jon. Leszczyńskiemu uśmiechała się myśl powtórnego żeniactwa, poznał się z panną i szczerze pragnął zadośćuczynienia życzeniu córki, ale kandydatka do hymenu umarła w 1750 r., niszcząc plany królowej francuskiej.

Pomimo starości, Leszczyński ciągle trwał w przekonaniu, że przyjdzie mu jeszcze odegrać poważniejszą rolę w dziejach Polski. Na krótki czas przed śmiercią Augusta III, jeden z agentów francuskich zapytał go: co by uczynił, gdyby go wezwano do Polski? Leszczyński po pewnym namyśle odrzekł: „Gdyby mnie deputacja polska w Lunevillu wezwała do kraju, odpowiedziałbym jej mniej wię-

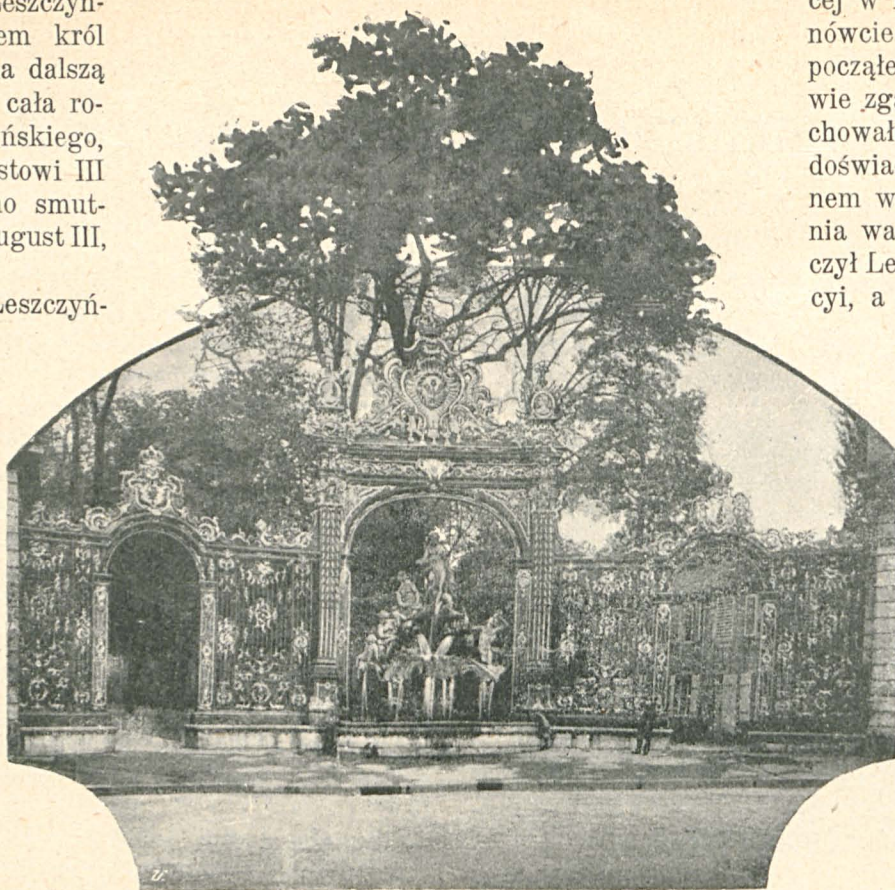
cej w następujące słowa: „Panowie! zastanówcie się dobrze nad położeniem rzeczy. Rozpocząłem rok 87 mego życia, wzrok mój prawie zgasł zupełnie, i jestem głuchy, ale zachowałem jeszcze siły umysłowe. Długie doświadczenie i zastanawianie się nad stanem waszego rządu dają mi możliwość udzielenia wam dobrych rad.“ Otóż te rady—oświadczył Leszczyński—wypowiedziałbym deputacy, a następniebym ją pożegnał.“ Cała rozmowa prowadzona była w tonie jowialnym i dwuznacznym. Minister Lucy, do którego była skierowana, podejrzewał Leszczyńskiego, że w razie rzeczywistego wezwania na tron, nie byłby w stanie odmówić kategorycznie deputacy.

Wkrótce po owej pamiętnej rozmowie przybył do Lunevillu Bieliński, zawiadamiając swego dawnego monarchę o śmierci Augusta III i przygotowaniach do nowej elekcji. Bieliński przywiózł z sobą listy prymasa i był przyjęty przez Leszczyńskiego w sposób uroczysty. Elekcja w Polsce, wstrząsająca do głębi całym krajem, nie mogła pozostawić Leszczyńskiego w spokoju. Zmartwychpowstała

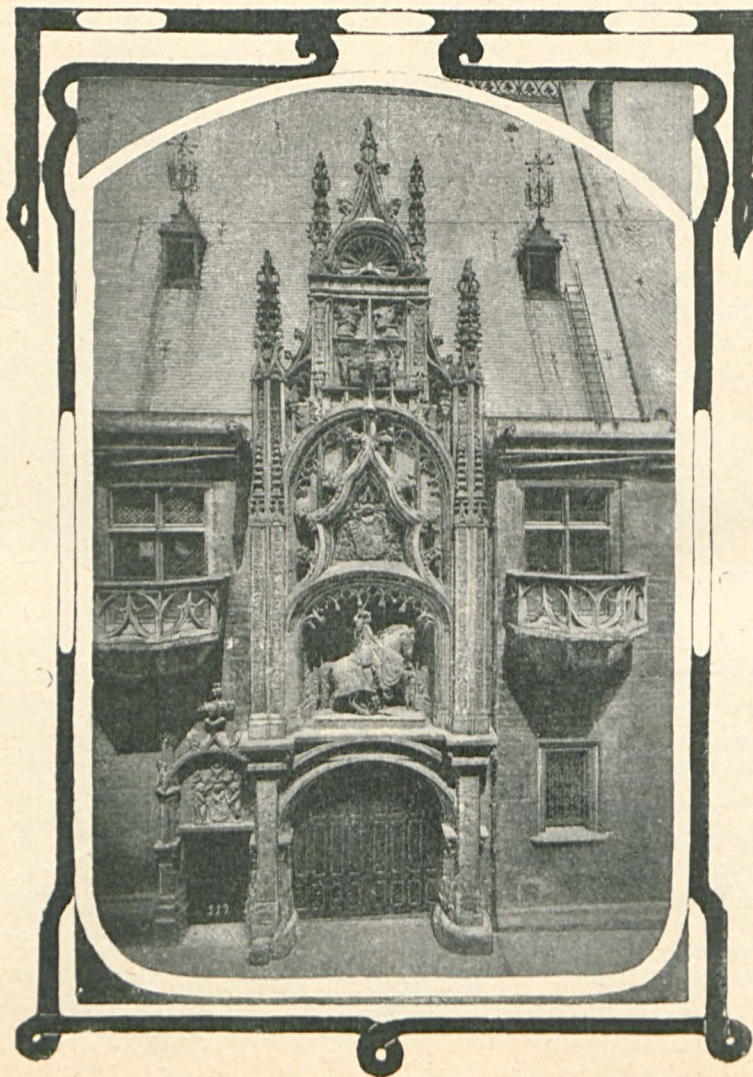
w jego sercu cała burzliwa i smutna przeszłość, przypominając mu, że znowu poważne niebezpieczeństwa grożą jego krajowi rodzinnemu. I w tej dobie nie brak było listów i odezw, wystawiających możliwość kandydatury Leszczyńskiego. Utrzymywano, że wprawdzie on abdykował, ale nie na żądanie Rzeczypospolitej, która go i wybrała i uznawała jednomyślnie. Nawet możliwym jest przypuszczenie, że i Leszczyńskiego ogarniały na chwilę dawne iluzje, i dawne marzenie ujrzenia się na tronie polskim powstało w jego wyobraźni. Były to w każdym razie chwilowe złudzenia starości, które rozwiewała zimna i nieubłagana rzeczywistość. Gdy też przyszło dać wyraźną odpowiedź wysłańcom, Leszczyński, powołując się na późny wiek, wyrzec się musiał przyjęcia kandydatury, która była najgorętszym pragnieniem jego żywota.

Dzieło swe kończy Boyé niebardzo pochlebną charakterystyką Leszczyńskiego. Jego zdaniem, Stanisław spędził żywot, który wydać się może romansem, pełnym przeciwieństw, sprzeczności i nadzwyczajnych wybryków losu. Nazwisko Leszczyńskiego napełniło niepokojem i hałasem świat, a to z motywów najrozmaitszych. Spotykało się je w rozmaitych stronach, jak np. w Szwecji, Turcji, Francji i Prusiech. Właściwie najmniej przebywał w swoim kraju rodzinnym. Wszystkie podróże jego były osłonięte tajemnicą. Zawsze uciekał, albo też ukrywał się, przebierając w miarę potrzeby za żołnierza, komiwojażera lub włościanina. Uczuwał się wprawdzie królem, ale bez poddanych i bez królestwa, a następnie ujrzał się nominalnym księciem, ale bez żadnej władzy rządzenia.

DN



Fontanna Amfitryty w Nancy.



Muzeum lotaryńskie w Nancy.



Adam Krechowiecki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

29



ówiać to, trząsł nim tak silnie i tar-
gał, że czerwona twarz pana z Da-
lewic stała się siną.

— Tyś jest szalony człek!... —
belkotał Gniewosz, szamocząc się: — kędyż
było cię szukać?

— Łżesz! — wrzeszczał Gryfita — łżesz!...
Henniger mówił mi... Był jeszcze czas... Gdy
tu ksiązę Zambickiej ziemi przyjechał, jam
jeszcze w orszaku królewskim był, iżby two-
jej Wiśni strzedz... Tyś z umysłu tak czynił
wszystko, aby mnie się zbyć...

Gniewosz próbował jeszcze uniewinniać
się i zwalić wszystko na Hennigera namowę,
ale widząc, że wszelaki opór jeszcze bardziej
wzmaga Gryfity wściekłość, zamilkł i głowę
kornie chylił, czekając, aż ten wybuch prze-
minie.

Wkrótce też uspokoił się nieco Szczu-
kowski, ale jeszcze rzekł, stojąc nad nim
groźny:

— Ja twego świadectwa potrzebować
będę.. Powiesz-li ty do oczu Spytkowi, ja-
koś na własne oczy widział książęcia Zam-
bickiej ziemi z Elżbietką? Przysięgniesz?

— Przysięgnę! — wyjąkał Gniewosz.

Teraz odstąpił od niego Gryfita i znów
chodząc poczał po izbie, mruczając jakby sam
do siebie:

— Tak będzie dobrze!... to jest zemsta...
Spytko teraz jeszcze większy, niż był... Len-
ny pan Podolskiej ziemi i śląskie grody
wziął!... A ja go uczynię najgorszym nędza-
rzem... Za tyle lat mojej niedoli odplacę się!
On tu na puchach spał, gdym ja... w twier-
dzy krymskiej Czufut-Kale głazy rozbijał,
lub w lody północne szedł... albo w Sa-
markandzie...

Gniewosz ciekawego ucha nadstawiał
i niby litośnie wzdychał.

— Strach! strach! — szepnął — to okrutna
rzecz... I zaiste nie dziwuję się twej wściek-
łości... Żal mi cię!...

A na to Szczukowski znów poskoczył
ku niemu:

— Słysz-no ty!... nie stękaj nade mną,
bo wnet będziesz nad sobą płakał... Przeby-
łem wszystko, i jest mi dobrze... Większy ja
teraz pan od ciebie, a na Spytka sposób
mam... Musi on teraz czynić to, co zechcę,
i wielkiemu książęciu Witoldowi pomoc dać
przeciw Kapczackiej Ordzie... a potem... dowie
się... I lenno Podolskie nie pomoże mu nic!...

Tego dnia nic więcej nie dowiedział się
Gniewosz, albowiem Gryfita złością się uno-
sił i kłął, a wreszcie w ponurem zawarł się
milczeniu, rozmyślając. Dopiero nazajutrz,
uspokoiwszy się, w krótkości opowiedział
mu przebyte koleje i swoje na przyszłość za-
mysły.

Wysłany z Rusi na Litwę do książęcia
Witolda, zastał on tam wojnę z Ordą Złotą
i w jednej z pierwszych potyczek ranny, do

srogiej niewoli się dostał. Dopiero gdy za-
szły wewnętrzne a krwawe walki pośród Ta-
tarów, zdołał uiknąć do Kijowa, do księcia
Witolda, razem z pokonanym przez Tymur
Kutluka hanem Tochtamyszem.

— Otóż ów han zwyciężony — ciągnął
Szczukowski — chciałby tron swój napowrót
odzyskać i Witoldowi wielkie za pomoc przy-
rzeczenia czyni. A zaś wielki ksiązę oddaw-
na marzy o zgnieceniu potęgi Ordzy, którą
też pobił na „dzikich polach“ nad Donem.
I byłby już może skruszył tę potęgę, gdyby
nie Krzyżacy, którzy wciąż napaści czynią
i wojną grożą pod tym pozorem, jako Żmujdź,
dotychczas pogańska, ich opieki krwawej po-
trzebują. Tedy Witold dla uzyskania od nich
pokoju oddał im Żmujdź ową ku nawracaniu,
sam zaś teraz myśli o wielkiej wyprawie
przeciw Ordzie, która chrześcijańskie narody
ciemieży.

— Słyszałem, — wtrącił Gniewosz — jako
ksiązę w kościołach oną wyprawę jak gdyby
krzyżową głoszą...

— Tak — potwierdził Gryfita. — I tu
i w niemieckich krajach tak czynią, albo-
wiem na prośby Witolda, Papież wojnę z Ta-
tary za świętą uznał... A wielki ksiązę, któ-
regom łaski i zaufanie posiadał, tak mi teraz
rzekł: „Jedź do Władysława króla, a proś go
w imieniu mojem, iżby mi pomoc dał...“
Przybyłem tedy, ale jak tobie, Gniewo-
szu, tak i mnie owa brzemienność królowej
nie w czas przysła...

— Jadwiga do żadnej nie dopuści wy-
prawy... — rzekł pan z Dalewic.

— Nie dopuści... nie dopuści! — przerwał,
unosząc się, Gryfita. — Trzeba tak czynić, iżby
wyprawa była, chociażby pomimo jej woli...

— A jakim sposobem?

Gryfita ramiona dźwignął.

— Coś zgłupiał ten dyabeł, który ci
dawniej różne podszeptował sposoby!... Tedy
za ogon go ciągnij, iżby znów mądrze gadać
zaczął... Ty mi teraz służyć musisz, i to bez
podstępu... bo inaczej!...

— Jam gotów!... — zawołał żywo pan
z Dalewic. — Ale cóż ja teraz mogę?...

Szczukowski zbliżył się do niego i, pa-
trząc nań bystro, obie ręce na ramionach mu
położył.

— Umiałeś ty... — mówił przez zaciśnięte
zęby — umiałeś ty, pomimo wszystko, coś
przedtem sprawił, łaski królewskie napowrót
ku sobie przyciągnąć... a pozyskawszy je,
zdradzić i króla i królowę, Hennigera pota-
jemnie do Rakuz śląc — potrafisz teraz służyć
podstępnie lepszej sprawie, iżby ta wyprawa
ku pomocy Witoldowi stanęła... Król, który
teraz to jeno czyni, co Jadwiga chce, jawnej
pomocy nie da i tak mi już rzekł, ale zachę-
tę i pozwolenie da panom możnym, iżby
swych chorągwi ruszyli, a to jest wszystko

jedno, jeśli nie lepiej, albowiem liczni tacy
są, którzy na ochotnika wolą iść...

— Tak... tak... — belkotał Gniewosz, usi-
lując wydobyć się z pod nacisku rąk Gryfi-
ty — jeno nie rozumiem...

— Wnet zrozumiesz!... — przerwał Szczu-
kowski, cisnąc go jeszcze mocniej. — Ty masz
tak teraz czynić, iżby króla ciągle wycią-
gać na łowy, a tam gadać mu będziesz
o onej świętej wojnie z Tatarzy i mnie ku
niemu zbliżysz, albowiem inna mowa jest na
posłuchaniu, w komnacie, a inna na łowiec-
kiej swobodzie... Rozumiesz już?

— Rozumiem... — odparł pan z Dalewic —
i tak uczynić mi nie trudno... król łaskaw
na mnie teraz...

— Tak tedy czyn! — rzekł Gryfita, uwalnia-
jąc wreszcie Gniewosza z objęć swoich. — Przy-
odziej się w pokorę lisia... mów, jako ty sam
zapałem płoniesz, a przewiny dawne krwią
niewiernych zmyć chcesz na onej wojnie
świętej... Sam zyskasz na tem, albowiem
patrząc na ciebie będą, nie jak na podłego
oszczercę, lecz jak na pokutującego rycerza...
cha! cha!... Ty zaś, pociągnawszy i zwerbo-
wawszy innych, sam będziesz mógł zostać,
a nawet zostać musisz, albowiem nie wziął-
bym ciebie na oną wyprawę w obawie, iżbyś
nas tam kędyś nad Donem jakiemu Kutluko-
wi lub Tymur Lengowi, sposobność znalazłszy,
nie sprzedał!

Szyderstwo Gryfity paliło ogniem Gnie-
wosza, ale nie przeciwił się już cale i wszyst-
ko czynić wedle jego woli przyrzekł, poczem
jeszcze długą naradę wiedli nad różnymi spo-
sobami działania.

Pan z Dalewic z podziwem widział, jako
Szczukowski, dawniej nędzarz nieledwie, te-
raz bardzo dostatni był, orszak miał z sobą
liczny i piękny, a grosze rozrzucił hojnie.
Nie mógł tedy wątpić, że Gryfita rzeczywi-
ście łaski Witoldowe posiadał, i że jest wszyst-
ko prawdą, co mówił.

— Niebezpiecznie z nim się teraz za-
dzierać, — myślał — zwłaszcza, że gdyby on
w złości ową sprawę z Hennigerem wywłókl,
tobym już przepadł jak sól w ukropie...

A zaś Szczukowski mówił z miną hardą,
drwiąc ciągle:

— Jeśli się ona wyprawa powiedzie,
a ja liczne hufce polskie Witoldowi sprowa-
dzę, mój stary Gryf w złote pióra porośnie,
a szpony dyamentowe będzie miał... Naon-
czas i o tobie, Gniewoszu, nie zapomnę
i w tych szponach ja cię utulę, gdy cię stąd,
złodzieju, nagonię!

III.

Radość wielka zapanowała na zamku
królewskim i w całym narodzie, gdy się ro-
zeszła wieść, że królowa matką ma zostać.
Ale radość ta z niemniejszą trwogą połączyła



POGRZEB DANUSI

Karton odznaczony nagrodą Tygodnika ilustrowanego na konkursie Tow. Art

Tygodnik ilustrowany

KONSTANTY GORSKI

się niebawem, albowiem Jadwiga, już przedtem niemocna, jeszcze bardziej chorzeć zaczęła i słabnąć. Wśród zalęknionego dworu, ona jedna nie miała obawy a nie ustawała w modlitwach, postach i umartwieniu.

— Stanie się wedle woli Najwyższej...— mówiła, gdy ją błagano, iżby ze względu na stan swój folgowala sobie w onych ćwiczeniach pobożnych.—Modlitwa przynosi spokój, przeto nie nuży, lecz dodaje sił...

A Władysław król gniewał się na to srodze i głośno wyrzekał:

— To jest mniszka, nie królowa! Chciałem, iżby komnaty jej i łożnica, jako przystało w takim momencie, przyozdobione były cennymi obiciami i zaponami od złota, pereł i klejnotów, ona zaś mi na to, że wyrzeka się już wszelkiej pychy i próżności światowej, i jakby nie nowego życia, lecz śmierci się spodziewała, przyodziła się w żałobę!... A ja na to patrzeć nie mogę i nie chcę!...

Nadaremnie uspokajali go biskup Wysz i ksiądz Nawój i spowiednik jego Jan, nadaremnie przedstawiali mu, jako to jest takie votum pobożnej królowej, która nie wśród zbytku i wesela, jeno w modlitewnej ciszy i pokornej prostocie oczekiwać pragnie błogosławieństwa Bożego; Jagiełło coraz rzadziej przybywał do ponurej komnaty małżonki, a coraz częściej i coraz na dłużej wydierał się z Krakowa na wyprawy łowieckie, że nieraz nie wiadano w stolicy, kędy się obraca. Wiedziano zaś teraz na pewno, że w tych wyprawach stale towarzyszą królowi pan z Dalewic i Szczukowski Gryfita, oraz liczna drużyna młodych panów, z tego znanych, iż głośno wyrzekali na zbyt długo trwający pokój, który ich niewolił gnuśny żywot wieść. Urządzali oni owe łowy, jak gdyby jakie wyprawy wojenne, a gromadzili wokół siebie całe zbrojne hufy dworzan i pacholków. Poczęto już mówić, jako bliską jest wojna z Ordą tatarską, którą wielki książę litewski, Witold, wieść ma, a król Władysław wspomagać.

A zaś Gryfita coraz bardziej kontent był i, zacierając ręce, mówił do Gniewosza:

— Do lata będę ja miał dla Witolda piękną armię. Najprzedniejsi pójdą, i sam król poszedłby chętnie, jeno teraz królowej przeciwieć się nie chce.

Mówiąc to, widział w marzeniu wielki pogrom tatarskiej Ordy, Witolda królem i panem ziem słowiańskich, pod jarzmem tatarskim jęczących, siebie zaś pierwszym dostojnikiem w tem ogromnym państwie.

Pan z Dalewic patrzył na niego z zawiścią, ale pomagał mu w tej robocie szczerze, chcąc rychlej pozbyć się nie miłego towarzysza. Zdumiony zaś był, widząc, jako Gryfita dla tej sprawy nawet dawnej nienawiści się zbył, a ze Spytkiem z Melsztyna w dobrej przyjaźni zdawał się być i nieraz tajne narady z nim miewał.

Ale Szczukowski wrychle rzecz mu tę wyjaśnił.

Szczerząc żółte zęby w szyderyczym uśmiechu, rzekł mu raz:

— Ja tego wojewodę krakowskiego tak miłuję, że zwolna, po kropelce sączę mu jad w żyły, iż on już teraz jak w odmiecie jest i całe lenno Podolskie oddałby za jeden moment spokoju... Pójdzie on z nami na Tatarów!

— Nie może to być! — przerwał Gniewosz—Spytko nie odstąpi króla, a Władysław nie puści ulubieńca swego na takie niebezpieczeństwo...

Gryfita zaśmiał się w głos.

— Zobaczysz!—odparł.—Spytko pójdzie, bo świat mu już niemiły, bo zginąćby rad, aby nie patrzeć na niewierną Elżbietkę. Gdyby się jednak w ostatnim momencie zawałał, to wezwę ciebie, iżbyś mu o Janie z Münsterberga, jako świadek naoczny, opowiedział...

Pan z Dalewic wzdrygnął się.

— Mniemałem,—rzekł—jakoś się już tych piekielnych myśli zbył...

— Nie zbędę się, dopóki Spytko na świecie...—odparł ponuro Gryfita.—I ciebie nie puszcę, dopóki mi tego świadectwa nie dasz, a nim Henniger powróci...

Gniewosza twarz wykrzywiła się wstrętem na to nazwisko. Czasem pocieszał się myślą, że nienawistny mu Niemiec nie wróci, że go zatrzymał przy sobie rakuski książę. Tedy żywo Gryficie przerwał:

— Skoro go dotychczas nie widać, to snadź już nie wróci.

— Cha! cha!—zaśmiał się Szczukowski:—tybys rad go się zbył, ale to próżna nadzieja... Gdym tu Hennigera zastał, a dokąd i z czem jedzie, zbadał, takem mu rzekł: „Ty sobie polecenie Gniewoszowe spełniaj, albo nie, to mi jedno. Ale możesz przy jednym ogniu dwie pieczenie upiec, i skoro z Wilhelmem sprawisz się, werbuj tam rycerzy niemieckich i innych na Witoldową wyprawę, a za każdego piękną otrzymasz nagrodę...” Niemcowi zaśmiał się oczy, i on pewno lada moment z drużyną przybędzie, w której może i Jan z Münsterberga, nie wiedzący co czynić z sobą w swojej Zambickiej ziemi, znajdzie się... A tak będzie miał pan Spytko miły niezawodnych świadków trzech... I na Tatarów pójdzie... Tymczasem, chociaż zrazu tej wojnie przeciwny, pomaga mi, aby mi nie zjednać i całej dowiedzieć się prawdy, którą ja mu po odrobinie odkrywam, podejrzeniami podniecając...

— Tyś jest dyabeł wcielony!...—mruknął Gniewosz.

Gryfita ramionami dźwignął.

— Nie lepszy i ty, — odparł — jeno woli silnej nie masz... Wahając się, od piekłaś się oderwał, a do nieba nie dostał. A ja ci mówię: i w piekle nie zgorzej, gdy się człek przyłoży... Lepiej, niż tak w powietrzu wisieć, jak ty...

Musił też Gryfita zręcznie swój plan wykonywać, albowiem pan Spytko był teraz rzeczywiście jak w odmiecie. To w zadumę wpadał, to się unosił gwałtownie, a były dni takie, w których na Elżbietkę patrzeć nie mógł i ze swojego dworzyska na całe dni i tygodnie znikał.

Elżbietka była w prawdziwej rozpacz. Po owem zajściu z królową, przejęta żalem i skrucą, pracowała ona długie lata nadtem, iżby nakłonić serce swe ku małżonkowi, a pieczołowitością i dobrocią odsunąć od niego podejrzenia wszelakie i spokój mu zapewnić. A Spytko, którego pierwotna obojętność Elżbietki tak głęboko raniła, widząc ją teraz całe zmienioną, gorzał ku niej miłością, pełną wiary. Nie wróciła wprawdzie Elżbietce dawna swoboda, ogarniała ją czasem tęskna za-

duma, w której postać Jana z Münsterberga ukazywała się jej jak w mgłach, ale ona myśli owe odganiała, jak pokuszenie złe, i jeszcze bardziej potem garnęła się ku małżonkowi, którego miłość szczerą i ufna bolała ją czasem jak wyrzut sumienia. I chociaż nie było w tem pożytku szczęścia, ale był spokój.

I nagle zmieniło się to wszystko. Spytko odbiegał teraz od niej chmurny. Szedł na owe wyprawy łowieckie z królem, a z Gryfitą tajne narady wiódł, po których jeszcze w gorszą wpadał gwałtowność.

Raz—a było to w początkach lata r. P. 1399—rzekł on jej w uniesieniu:

— Na świętą wojnę z Tatarami idę... I pewno nie wrócę z niej... będziesz wolna!...

A ona do kolan mu przypadła i, wznosząc swe piękne zawsze a pełne smutku oczy, zawołała:

— Nie pragnę ja wolności bez ciebie, panie mój! Odegnaj od siebie te myśli, które ci zły duch podsuwa...

Spytko za ramię ją pochwycił, z ziemi podniósł i, zbliżając swą zbladłą twarz do jej twarzy, a patrząc na nią wyiskrzonym wzrokiem, mówił przez zaciśnięte zęby:

— Zły duch podsunął mi ciebie, abyś mi żywot zatrula... dał mi zwycięstwo nad Janem z Münsterberga, ale po to jeno, iżby on mnie w twojem sercu pokonał... A ja z nim teraz pójdę na inny Sąd Boży, nie w szrankach, jeno na bojowisku z Tatarami!... Zginie oba, to będziesz podwójną wdową, którą widma nasze prześladować będą do ostatniego tchu... Zginę ja, to ze świadectwem mej śmierci przyjdzie do ciebie książę Zambickiej ziemi, i ty poślubisz go na swoją i jego niedolę!...

— Spytku!... Spytku!...—wołała ona błagalnie, cała drżąc z przerażenia.—Na Boga przysięgam!

— Nie przysięgaj!...—krzyknął wojewoda.—Nie wzywaj imienia Bożego nadaremno! Naoczni świadkowie są... Pytaj Gniewosza, pytaj Hennigera, do oczu ci rzekną, że przysięgasz krzywo!... A i sam książę, który tu wczoraj przybył, nie zaprzeczy... ty, ty, nie zbędnico!

Rzekłszy to, odrzucił ją od siebie i wybiegł jak oszalały z komnaty.

Elżbietka zaś zachwiała się, jak ten, w którego grom znagła uderzył, i na kolana padła, niezdolna krzyku wydobyć z piersi, łkając jeno głucho i załamując ręce w rozpacz.

I wnet porwała się, rzucając wokół obłąkanym wzrokiem. W obie ręce schwyliła głowę, w której plątały się bezładne myśli, rozpierzchające się jak ptaki w popłochu.

— Co czynić?...—szepiała—co czynić?...

Zwolna obejmowała myślą cały obraz niedoli... Jeden moment nierozwagi ile też klęsk sprowadził!... Na głowę świętej królowej ściągnął okrutne oszczerstwo i długie udrczenie, a teraz na jej głowę rzucił strasliwą groźbę śmierci jej małżonka, a może i Jana z Münsterberga... Z Mornsteinowej gospody na cały jej żywot padł żałobny cień...

Na jedną chwilę odbił się w jej duszy jaskrawo obraz owej ohydnej, ponurej izby, w której po raz ostatni widziała się i mówiła z zambickim księciem...

Obejrzała się trwożnie. Dzień gasł, za-

padały mroki, a wśród nich zdało się jej, że widzi szlachetną, wyniosłą postać Jana z Münsterberga i jego posepną twarz i jego pałające oczy. Zdało się jej, że słyszy głos jego, stłumiony, a przenikający, gdy jej mówił o wróżbie, przepowiadającej jej i jemu wspólne szczęście w przyszłości... „Ty wrócisz do mnie, Elżbietko!”—rzekł on wówczas.—Wróci do mnie zrabowana na moment szczęśliwość moja!...”

— Och! och!—jęknęła ona, zakrywając twarz przed owym widmem, tłumiąc przemocą w duszy echo tego głosu. — I jakżeby to była szczęśliwość, okupiona krwawą śmiercią Spytki? Nie! ona tego dopuścić nie może!...

Dreszcz ją przebiegł od stóp do głowy, poczęła dygotać, a potem nagle porwała się, i zarzuciwszy jeno ciemną na głowę zasłonę, wybiegła z komnaty i z dworzyska, dążąc ku zamkowi.

Z królową widywała się ona teraz rzadko, coraz rzadziej. Jakkolwiek bowiem Jadwiga była dla niej niezmiennie dobrą, i nigdy ani jednym słowem nie okazała żalu, wszakże Elżbietka czuła to dobrze, jako ona przynosi z sobą okrutne wspomnienie Gniewoszewego oszczerstwa, wywołanego jej winą. Nieraz też dostrzegła, że królowa w jej obecności przymykała oczy, jakby nie chcąc przypominać sobie i budzić zastygłego w sercu żalu. Od kiedy więc Jadwiga była niemocna, Elżbietka nie przychodziła do niej wcale, a pani Beska pilnie teraz drzwi królowej strzegła, bacząc na to, iżby zwłaszcza wieczorem nikt spokoju niemocnej nie naruszał. Jedną tylko Reginką miała zawsze przystęp, albowiem ona jedną rozmową swą przynosiła ukojenie, a widokiem swego pogodnego szczęścia—pociechę.

Dzień ten był też szczególnie ciężki. Jakkolwiek bardzo niemocna, królowa zajmowała się zawsze sprawami państwa, zwłaszcza zaś sprawą z Zakonem niemieckim, z którym pokój ustalić pragnęła. Cały ranek dzisiejszy spędziła z panami swej Rady i nowe wyprawiła pismo do Wielkiego Mistrza, tak w sprawie zagarniętej przez Krzyżaków ziemi Dobrzyńskiej, jako też dróg i ułatwień handlowych z nadwiślańskimi miastami pruskimi. Po owej naradzie, królowa w wielkie zapadła osłabienie, a potem w sen dziwny, który raczej omdleniem się zdawał.

Przyzwani medyk Dominik z Krakowa i doktor Janusz z Wielkopolski zalecili zupełny spokój. To też gdy Elżbietka nadbiegła, chcąc do królowej iść, pani Beska stanowczo zrazu sprzeciwiła się temu. I potrzeba było usilnych błagań Reginki i przedstawień, jako sprawa jest ważna, a nie cierpi zwłoki, by skłonić ochmistrzynię do ustępstwa.

— Pójdę, — rzekła wreszcie — pójdę do królowej i zwiastuję jej, jako tu jesteście i mówić z nią pragniecie, ale nalegać nie będę... przeciwnie...

— Powiedzie jeno, że sprawa wagi niezmiernej...—błagała Elżbietka.

— Nie! nie!—żywo przerwała pani Beska—nie powiem nic. Zresztą ona teraz jest ciągle jakoby w jasnowidzeniu i sama najlepiej wie. Mówić jej nie trzeba, ona w duszy czyta.

Cicho wsunęła się do sypialni, pogrą-
 nej w mroku.

Jeno płonące przed wizerunkiem Bogarodzicy światło rzuciło blade blaski na łożę, na którym spoczywała Jadwiga. Oczy miała otwarte szeroko, a zapadłe w głąb; ręce wychudłe, bardzo białe, wyciągnęła przed siebie na czarną zasłonę, okrywającą łożę, a twarz jej na wezgielciu, wśród powodzi rozplecionych, hebanowych włosów, zawsze dziwnie piękna, ale jak gdyby już nie ziemską, przerażała swą przezroczystą bladeścią.

Na palcach przysunęła się do łoża ochmistrzyni.

— Pani moja!...—szepnęła—nie śpicie?

Nie poruszając się, odparła Jadwiga głosem, który zdawał się dalekiem echem:

— Och, nie!... Spłynęło na mnie ukojenie wielkie... I tak mi dobrze... tak dobrze!

Pani Beska przyklękła przy łożu.

— Dzięki Najwyższemu!—mówiła.—Toż nierada przerywam ci, królowo, spokój, ale przyrzekłam na usilne błagania zwiastować, jako przysłała Elżbietka Spytkowa i mówić z wami pragnie.

Wyciągnięte dłonie Jadwigi nieznacznie drgnęły, poruszyła się głowa, i na chwilę przymknęły oczy.

— Ale ja jej powiem,—dorzuciła śpiesznie pani Beska—jako dziś nie sposób... Niech jutro przybędzie...

Wstawiała, aby odejść, ale Jadwiga wnet otworzyła oczy i żywo przerwała:

— Nie! nie!... sprawa musi być ważna, skoro nalega. Wprowadź ją zaraz.

Ochmistrzyni chciała jeszcze coś mówić, ale królowa lekko skinęła ręką.

— Wprowadź!—powtórzyła.

Za moment Elżbietka klęczała przy łożu, całując ręce i stopy królowej. Na zalecenie ochmistrzyni wstrzymywała łzy, które ją dławily, i łkanie, które rozpierało jej piersi. Urywającymi wyrazami, krótko, opowiedziała groźbę Spytkową i swoją niedolę.

— Przysięgam,—mówiła—żem jest niewinna!... Myśl nawet krępowałam, aby nie wracała w przeszłość... Więc za co ta kara? za co ten groźny Sąd Boży na bojowisku?... Ty, królowo święta, jednym swym słowem wszystkiemu zapobiedz możesz!... Wzbroń Spytkowi tej wyprawy!...

Nie mogła mówić dłużej; chwycił ją serdeczny płacz...

Z zawartemi powiekami spoczywała Jadwiga, słuchając bez ruchu. Jeno pierś szybciej poruszać się poczęła, a blade usta drgały, gdy ujawszy Elżbietkę za zimną dłoń, mówiła cichym szeptem:

— Nie żal się i nie pytaj za co kara, skoro tak Bóg chce... Wiem wszystko... Wiem, że zewsząd zbrojne hufce ściągają ku Witoldowi, pod Kijów... Wojna ta z niewiernem a dzikiem Tatarstwem święta jest... Ale jej teraz nie chciała, bo jeszcze nie czas... Pisałam do Witolda, aby go pohamować, ale odmówił, bo onby pragnął zniszczyć tatarską potęgę i wszystkie dzierżawy Złotej Ordy pojąć... Ja zaś czuję, że to jeszcze nie czas... Zaledwo króla wstrzymałam, ale wiem, że pójdzie stąd wielu... bardzo wielu... Już przybył tu z licznym rycerstwem niemieckim, wysłany przez Wielkiego Mistrza, komandor Markward Sulzbach... on jeszcze więcej stąd pociągnie. Z nim też jest Jan książę ziemi Zambickiej...

Dłoń Elżbietki drgnęła w uścisku ręki Jadwigi, ta zaś mówiła dalej:

— Widzisz... drżysz na to imię, a prze-to bez winy nie jesteś... Twoje serce nie było za Spytkiem, a on to czuł... coś za dziw, że idzie? że uciec chce od niedoli, która go gnębi?...

— O, królowo!—jęknęła Elżbietka—to są podszepty ludzi złych. Ty, pani, wspomóż mnie... powiedz mi... wzbroń!

— Mówiłam już ze Spytkiem... — przerwała Jadwiga—i wzbroń chciałam... z początku ulegał, ano w końcu oparł się...

A na to Elżbietka głośno łkać poczęła i ręce łamać w rozpacz, królowa zaś, litością zdjęta, rzekła:

— Raz jeszcze pomówię z nim, a jeśli Bóg zechce, przekonam... Ty zaś rozpaczą nie pomnażaj grzechu...

I wnet rozkazała przywołać Spytkę.

Gdy wojewoda wszedł do komnaty, ujrzawszy Elżbietkę, która jak śmierć blada, stała o mur oparta, domyślił się wszystkiego i, nie czekając na to, co królowa powie, przykląkł przy łożu i mówił sam głosem, który drżał:

— Przez litość, miłościwa pani, nie chciejcie, abym po raz pierwszy nieposłuszny wam był... Iść muszę na ową wyprawę, bo tam jeno życie postradać mogę, a tu pozostawszy, straciłbym duszę w goryczy i rozpacz, która mnie żre...

— Wyrzuc z serca niesłuszny żal... Elżbietka była i jest wierną tobie...—rzekła królowa.

Pan z Melsztyna głowę pochylił i odparł ponuro:

— Miłość mi ślubowała, a ta została przy innym... Widziałem to odrazu w pierwszych dniach, czułem to i później, gdy skrucha i lękiem zdjęta, iż swem swawolnem postępowaniem na twoją świętą głowę, królowo, ściągnęła ohydne oszczerstwo, usiłowała kłamaną dobrocią oddalić ode mnie budzące się już wtedy podejrzenia...

— Och!—jęknęła Elżbietka—nie kłamałam nigdy! świadkiem Bóg!...

Wojewoda porwał się z klęczek i, zbliżając się do struchlałej małżonki, zawołał:

— Kłamstwem było w tobie wszystko! Od pierwszego uśmiechu, którym mnie przed laty na zamku budzińskim przyciągnęłaś, zdradzając tem zambickiego księcia, aż do ostatniego uścisku, którym mnie darzyłaś z przymusu, iżby mnie uspić! Nie wzywaj na świadectwo Boga, bo on najlepszym świadkiem jest twoich wiarołomnych myśli i moich srogich udręczeń.

Królowa żywo poruszyła się i pomimo osłabienia dźwignęła na łożu:

— Wojewodo!—rzekła z mocą—duszę ci zatrąły podszepty zle...

— Nie są to podszepty — przerwał porywczo Spytko: — świadkowie są, którzy widzieli...

— Nic innego widzieć nie mogli,—żywo wtrąciła Jadwiga — jeno to, o czym ja od pierwszego momentu wiem, z własnego przyznania się Elżbietki... Nie kłamała wtedy, przysięgając mi, że nie wiarołomną, jeno lekkomyślną była, a jeśli nie wyznała ci tego wówczas, to dlatego, iżem jej mówić wzbro-niła... Odtąd była ci dobrą małżonką... Więc

przebacz jej lekkomyślny czyn i zostań w spokoju...

Elżbietka osunęła się na ziemię i na kolanach czolgała się ku małżonkowi, łkając głucho.

— Spytku! Spytku! — jęczała — ulituj się!...

A królowa wyciągnęła ku niemu dłoń:

— Proszę cię o to, wojewodo, — rzekła — a w potrzebie, rozkazuję!...

On pochylił się, wyciągniętą dłoń królowej ze czcią ucałował i moment stał milczący, jakby się wahał.

— Spytku! — błagała wciąż Elżbietka — przebacz! zapomnij!

I drżącymi ramionami usiłowała objąć mu kolana.

Ale on nagle wzdrygnął się całym ciałem i, nie patrząc na nią, do Jadwigi mówił:

— Nie, królowo! Nadto miłował, iżby przebaczyć... Zapomnieć nie zdołam, a przysięga wiarołomnej nie znaczy nic... Choćby dwunastu rycerzy zaprzysięgło jej niewinność, nie uwierzę!... Ta, która pokryjomu, w nocy, wydziera się z królewskiego zamku

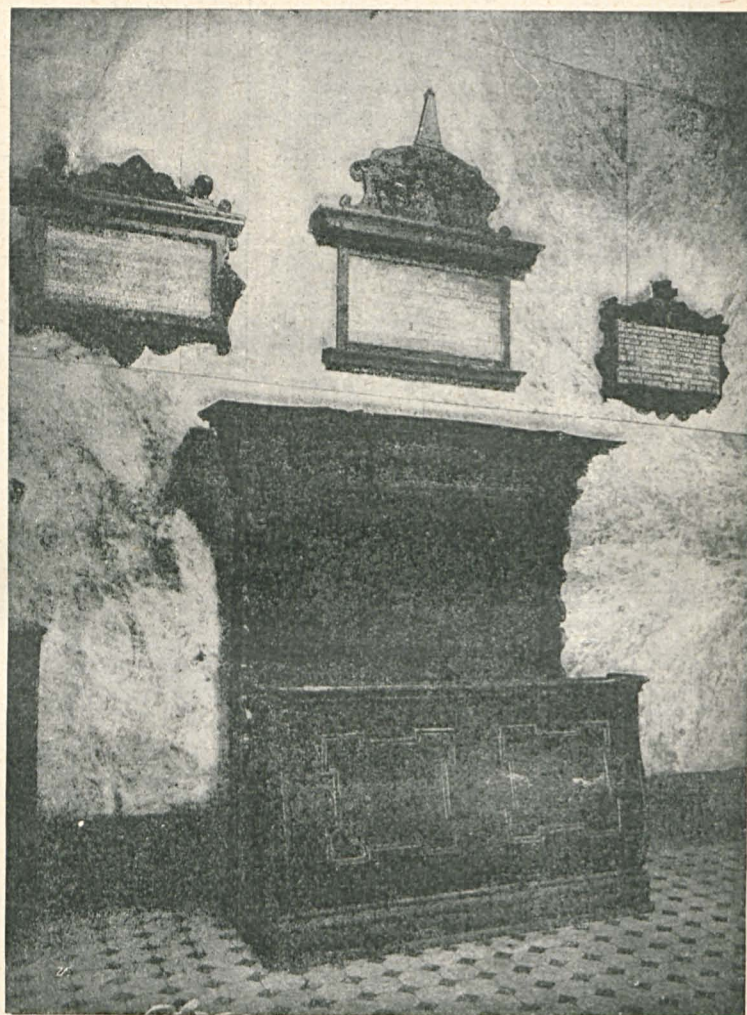
do ohydnej Mornsteinowej gospody... nie ma cześci i wiary nie znajdzie... A ja, postradawszy wszystko, com najdroższego miał, żyć nie zdołam... Dość było udręczeń i niepewności przez tyle lat. Teraz zaś, gdy pewność mam, gdy jakby z grobu wstali świadkowie, aby dać świadectwo prawdzie, która jest dla mnie sromotą... pójdę... iść muszę!... Przebacz, królowo!

To rzekłszy, przykląkł przed Jadwigą, porwał się i wybiegł z komnaty.

DCN



Kaplica Kochanowskich w Zwoleniu: ołtarz.



Stalla i tablice pamiątkowe rodziców Kochanowskiego.

Kaplica Kochanowskich w Zwoleniu.

Drugi to już raz pod tym tytułem pismo nasze wspomina o miejscu, w którym spoczywały prochy nieśmiertelnego twórcy „Pieśni” *).

Dziś jednak, zamiast wyrazów wyrzutu i ubolewania nad zaniedbaniem i ruiną drogiej nam pamiątki, stwierdzić możemy, że nareszcie odnawianie kaplicy Kochanowskich w Zwoleniu ukończono.

Czy jest ono takie, o jakim marzyliśmy i na jakie pamiątka po wieszczu czarnoleskim ze wszechmiar zasługuje — nie przesadzamy. Dość, że dziś kaplica jest przynajmniej widna, czysta i wedle możliwości starannem wyrestaurowaniem od ruiny zabezpieczona.

Odnawianie kaplicy było rozpoczęte przed kilku laty, staraniem miejscowego proboszcza, ks. kanonika Aleksandra Bąkowskiego.

Odrestaurowano wtedy pod przewodnictwem

*) „Tyg. Illustr.” r. 1897, N-r 11, str. 215.

bezinteresownem pp. Dziekońskiego i Czosnowskiego tylko część zewnętrzną: powiększono kopułę, pokryto ją blachą cynkową, wybito dwa nowe okna, a stare po bokach pomnika zamurowano, ułożono nową posadzkę z płyt terakotowych, postawiono rusztowania wewnętrzne, i na tem roboty stanęły, bo funduszy zabrakło.

Dopiero w roku bieżącym można było przystąpić do robót wewnętrznych.

Wymalowaniem kaplicy, oczyszczeniem i naprawą pomników zajął się p. Kopiński, malarz z Radomia. Ściany pokryła imitacja olejna płyt z jasnego, szaro-zielonawego marmuru.

Sklepienie półkoliste zdobią postacie: Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, św. Wojciecha, św. Stanisława i św. Kazimierza.

Ołtarz, cały nowy, jest wystawiony w stylu romańskim z drzewa dębowego, na mat. W pośrodku ołtarza mieści się rzeźba, wyobrażająca patrona kaplicy, św. Franciszka Serafickiego; po bo-

kach stoją figury św. Antoniego i św. Walentego.

Ołtarz i figury są roboty Pawła Skorka z Żelechowa i odznaczają się poprawnem i czystem wykonaniem.

Pomnik Jana Kochanowskiego *) z żółtawego marmuru w żyłki czarne, z czarnymi narożnikami,

*) *Napisy.* Na pomniku Jana Kochanowskiego:

Joannes Kochanowski Trib. Send.

Hic quiescit

Ne insalutata praeteriret hospes eruditus

Ossa tanti Viri,

Cujus apud mentes elegantiores memoria

Vigebit sempiterna

Hoc marmor indicio esto

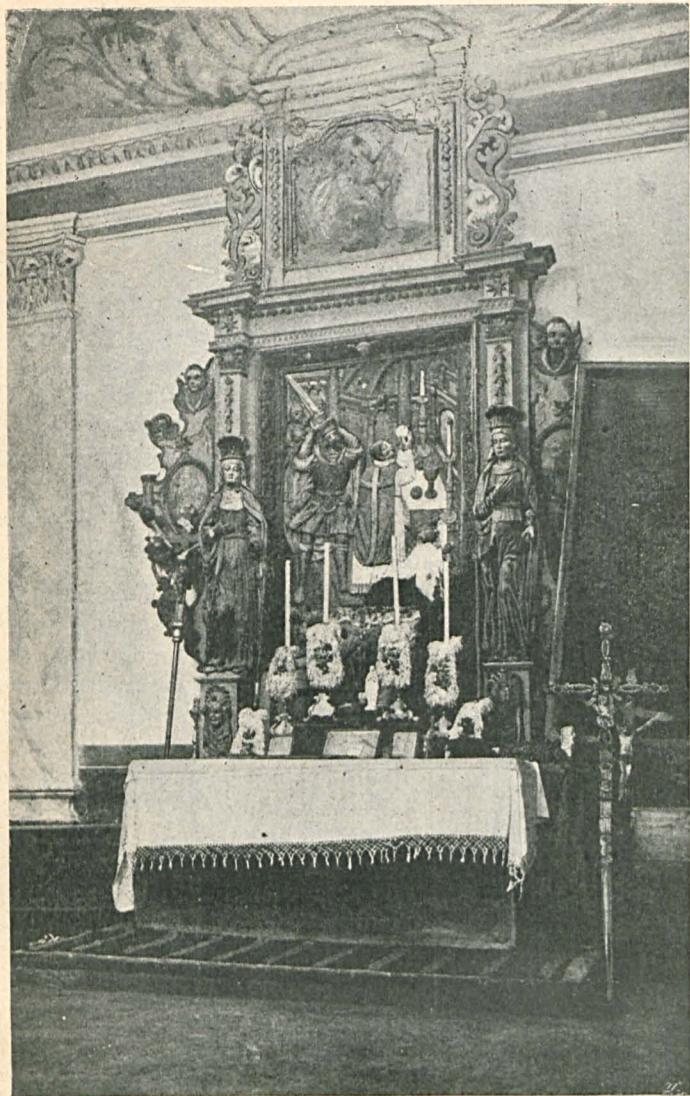
Obijt anno 1584 die 22 Augusti

Aetatis 54.

Na nagrobku rodziców poety:

D. M.

Avete animae unanimae



Ołtarz w kaplicy Owadowskich.

jak również i nagrobki: rodziców Jana, Adama Kochanowskiego, synowca poety i fundatora kaplicy (w r. 1610), Katarzyny Kochanowskiej, mat-

Petro Cochanoio, terr: Sendom: judici, et Annae Biaczoviae ejus Conjugi, cum extinctis beneficii autoribus, tenuis admodum referendae gratiae supersit ratio. Joannes Cochanoivus parentibus indulgentiss. hunc lapidem jugibus rigatum lacrymis P. Obierunt alter An. Chri XLVII supra M. D. Aetatis suae an: LXII, altera decennio post quinquagenaria VI filiis et filiabus IIII superstitibus.

Na nagrobku Katarzyny Kochanowskiej:

Catarinae
De Jasieniecz, Nicolai Kochanowski
De Sycyna conjugi, Adamus et Petrus ex decem liberis
superstitibus filii, matri optima
memoriae ergo, posuerunt
obiit anno Salutis
1603 aetatis 53 die
15 Junij.

Na nagrobku Piotra Kochanowskiego:

Petro Kochanowski Secretario Regio ad Divum Franciscum Cracoviae sepulto, qui cum hoc Saccellum argentae supellectili et acu pictis Tabelis ac multa vestae sacra ornasset, censuque annuo in perpetuum de suo auxisset. Ut ubi extant ejus pietatis munimenta, Ibi et ipsius extet memoria.

Adamus Kochanowski Judex terrae Lublensis fratri optimo posuit eodem quo ex hac vita excessit Anno 1620 aetatis 54.

Na nagrobku Adama Kochanowskiego, fundatora kaplicy:

Adamus in Sycyna et Cekow haeres Kochanowski
Judex terrae Lublensis
Qui

ki poprzedniego, i wreszcie Piotra Kochanowskiego, tłumacza „Jerozolimy wyzwolonej“ i „Orlanda szalonego“, odnowiono i zabezpieczono sumiennie z całą troskliwością.

Z pamiątek i aparatów, które wymienia wizyta kościelna z r. 1662, nie nie zostało, chyba tylko jeden ornat „czerwony złotogłowy włoski“, z przepysznym haftem, dziś przechowywany w zakrystyi.

Fotografie, które do notatki powyższej dołączamy, wykonane przez pana Józefa Grodzickiego, wyobrażają: pomnik Kochanowskiego na ścianie frontowej i nagrobki na lewej, ołtarz i sklepienie kaplicy.

Zasługuje również na uwagę ołtarz, który wyobraża fotografia czwarta, znajdujący się w kaplicy naprzeciwko Kochanowskich, zwanej „Owadowską“, od fundatorki swej, Zuzanny z Owadowa, wnuczki poety, żony Sebastjana z Wołuczy Wołuckiego, kasztelana małogoj-skiego, starosty rawskiego.

Ołtarz pochodzi z roku 1644, rzeźbiony jest w drzewie i pokryty polichromią. Wyobraża chwilę, w której Bolesław Śmiały zamierza się mieczem na św. Stanisława, odprawiającego mszę św. przy ołtarzu.

SZCZĘSNY JASTRZĘBOWSKI.



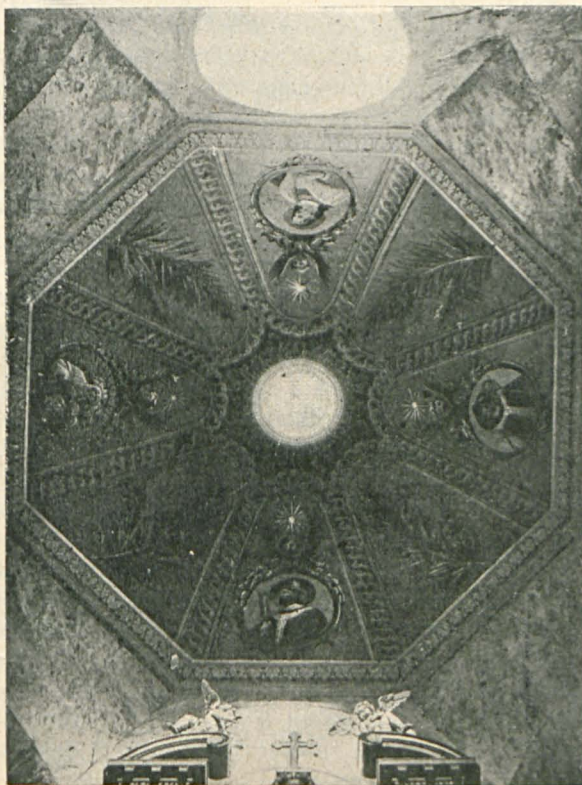
Dum in vivis existens alios judicasset

Hic

Universorum judicem expletis LXIII
Vitae suae annis expectat

Cui

Nicolaus et Adamus Kochanovii ex fratre
Nepotes mestissimi hunc lapidem memoriae
ergo posuerunt Anno Dni 1628.



Plafon w kaplicy Kochanowskich w Zwoleniu.

Ze wspomnień.

✱

Kiedy sięgnę dumki dziecięcemi,
Wstają cudne postacie niewieście,
A tak czasem tęskno mi za niemi,
Iż zawołać chciałbym: Gdzie jesteście?

Ot—choć tam—od jodłowego boru,
Po kobiercu konwalii, paproci,
Idzie wróżka, a we mgle wieczoru,
Księżyc jasne jej warkocze złoci.

A we włosach same leśne kwiecie:
Biały storczyk z paprocią się plecie,
Albo drobne dzwoneczki liljowe
Mdłym wianuszkiem obejmują głowę.

Ona niby płynie przez powietrze,
Zda się nóżką żdźbła trawy nie zetrze,
Taka lekka, wysmukła, powiewna,
Ta urocza, ta śliczna królewna.

A ja dziecię—poglądałem na nią,
Jak na cudne, niezemskie zjawisko,
Jak na kwiatek, co ponad otchłanią
Wyrósł, zdobiąc skaliste urwisko.

Wszakże niegdyś pisała dziecinie:
„Gdy odejdę daleko, daleko,
A twa łódka już w życie popłynie,
Może kiedy ze łzawą powieką

Spojrzysz w przeszłość, w te lata szczęśliwe;
Może wówczas, znużony burz walką,
Wspomnisz duchy twej wiosnie życzliwe
I zawołasz: Idalko! Idalko!

Ach, przypomnij, gdy usta twe jękną,
Kiedy oczy napełnią się łzami,
Słowa moje: Jest miłość, jest piękno,
I jest Prawda gdzieś wyżej nad nami!”

Biegło życie, huczały orkany,
I prąd wartki łódź uniósł daleko...
I na święty próg Ojców—złamany
Wrócił tułacz ze łzawą powieką

Taka sama noc, takież gwiazd krocie.
Z olch nadrzecznych słyhać trel słowików,
Takie same pod rosą paprocie
I upaja woń białych storczyków.

Pojon zwątpień i cierpienia jadem,
Tęskny za tą przeczystą westalką,
Strojną w marzeń dziecięcych dyjadem,
Wołam: „Gdzieś ty—Idalko? Idalko!”

Cisza. Dawno śpi złota królewna,
Tuż w mogiłce malutka dziecina...
I słowików rzesza kwili rzewna,
I gałązki brzoza na grób zgina.

Szczęścia nie dał jej ślubny pierścionek..
Los brutalnie zimnymi podmuchy
Ściął pęk wzrosły wśród marzeń obsłonek,
Zwiął jak białe gołębie piór puchy.

Znikł ten czar jako kwiatek z jej skroni,
Jak skruszona w ręku dziecka łątka,
I jedynym może śladem po niej
Cień jej w oczach mych, w sercu pamiątka...

ADAM M-SKI.

Henryk Siemiradzki.

SZKIC OKOLICZNOŚCIOWY.

Henryk Siemiradzki bawił niedawno w Warszawie, a świeżo namalowana przez niego kurtyna dla nowego teatru lwowskiego budziła „Salonie“ Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych żywe zajęcie. Jako malarz, należy Siemiradzki do grona znakomitych artystów drugiej połowy kończącego się stulecia, którzy najgłośniej może rozslawili kunszt pendzla polskiego po szerokim świecie. Równocześnie, wpośród ziomków, zdobywał działalnością swoją i charakterem męskim ogólną miłość i szacunek powszechny.

Współcześni pamiętają, a potomni nie zapomną, że zapał szlachetny i ofiarność mistrza dały początek Muzeum narodowemu w Krakowie, które chociaż zaledwie lat dwadzieścia istnieje, chociaż skąpo przez ubogi gród uposażone i z powodu braku środków materialnych niedość krytycznie i systematycznie uzupełniane, zajmuje już jednak w szeregu podobnych, starych i suto subwencyonowanych instytucji europejskich wcale wybitne miejsce. Od chwili, jak powstało, przyciąga licznie zwiedzających je lubowników-turystów, nietylko profanów, lecz i znawców,—wzbogacającym się zaś ciągle zbiorem utworów dawniejszych i dzisiejszych dostarcza wymownych ilustracji do krótkich, ale interesujących dziejów rozwoju sztuki rodzimej, prostując niemi zarazem bardzo często błędne i fałszywe o rozwoju tym sądy i mniemania tak swoich, jak obcych. Żeby się o tym znaczącym dla nas fakcie przekonać, dość jest rzucić okiem na najnowsze publikacje zagraniczne, poświęcone sztuce, dość jest przerzucić kartki ostatnich niemieckich, a nawet i francuskich podręczników do historii malarstwa.

Zwłaszcza w poważniejszych wydawnictwach spostrzedz łatwo, że muzeum krakowskie służy nieraz za punkt wyjścia do charakteryzowania ogólnego poziomu sztuki polskiej, niedawno jeszcze jako całość rozmyślnie lub lekkomyślnie bagatelizowanego, lub pomijanego milczeniem nawet wtedy, gdy zjawienie się niepospolitego obrazu malarza polskiego na jakiejś zaciekawiającej wszystkich wystawie w jednym ze wszechświatowych ognisk artystycznych, zmuszało poniekąd krytyka estety do wspomnienia to o Grottgerze, to o Matejce, albo o Gierymskim, Kossaku, Siemiradzkim. Brancie, Ajdukiewicz, Chelmońskim i Fałacie, Przyczepiano ich zwykle do tej lub owej szkoły obcej. Bez zaprzeczenia malarstwo nasze nie posiada dotychczas uogólnionego znamienia indywidualnego, napelniającego nieśmiertelną żywotnością wszelkie usiłowania przeszłości i teraźniejszości, albo zapowiadającego się w blizkiej przyszłości,—znamienia, po którym możnaby już śmiało i bez wahania dziś je oddzielić od szkół i wpływów cudzoziemskich—baczny jednak obserwator znajdzie w najróżnorodniejszych sztuki polskiej przemianach jeśli nie techniczne, to przynajmniej duchowe powinowactwo, łączące często krańcowo sprzeczne dążenia w łańcuch ogniw, wprowadzając nie z jednolitego kruszczu ulanych, noszących przeciwieństwo na sobie cechę swojską, a nawet do pewnego stopnia odrębną. Stwierdzić tego nie sposób bez galeryi muzealnej, a jedyna, która obecnie



HENRYK SIEMIRADZKI.

Fot. J. Golez.

świadczy choć w przybliżeniu o objawach, rokujących ukształtowanie się szkoły polskiej, zawdzięcza swe istnienie inicjatywie i ofierze Siemiradzkiego.

Prócz tej kulturalno-społecznej zasługi, autor „Pochodni Nerona“ położył wiele innych na artystycznej niwie naszej. W chwilach, gdy malarstwo polskie, opuszczając wspaniałe drogi, pnało się ku wyżynom ducha, na które pchnęły je genialne ręce Grottgera i Matejki, zaczęły schodzić na niziny handlowej rodzajowości, zapragnął on oczy rodaków, kształconych na starożytnych wzorach, zwrócić znowu na słońce, z którego w zaraniu cywilizacyjnego swego rozwoju wszechzachodniego czerpali promienie piękna. Z postanowienia tego powstała długa serya płócien, których chyba przypominać nie potrzebuję. Zarysy ich tkwią w pamięci mas. Mienia się wszystkie czarem barw, ogrzanych ciepłem włoskiego powietrza, skąpanych w blaskach Południa; jaśnieją białością marmurów, wdziękiem lub energią ciał nagich, harmonią kształtów, poezją odległej, a jednak dobrze znanej nam przeszłości.

Tak—poezją. Siemiradzki jest prawdziwym poetą, miłującym piękno, zdrowie duszy w zdrowem ciele, pogodę klasycznej linii, rysującej się na tle lazurów, i kolorystykę pompejańską, oraz uroki życia, niepohamowane powszednią marnością i bezdusznym sybarytyzmem, uszlachetnione zaś pracą artystyczną. Nadto z łacińską i renesansową wykwiutnością formy, pojętej i wyrażonej dosadnie i plastycznie, jednoczy on myśl i uczucie chrześcijańskie, które, od „Jawnogrzeszniczy“ począwszy, do malowanego obecnie „Chrystusa błogosławiącego dzieciom“, przewija się niby

nić (niekiedy krwawa, niekiedy tylko kraśna), przez treść wielu jego kreacji, dotyczących dwóch niedalekich siebie, chociaż walczących z sobą światów. Zlewają się one nieraz w jego imaginacji i na różnobarwnej palecie w alegorye nawpół mitologiczne, nawpół nowoczesne, jak plafon w pałacu Zawiszów, jak może przyszły sufit, przyozdobiony mający wielką salę koncertową „Filharmonii“, jak przedwzrostkiem zwały się już w dwóch prześlicznych zasłonach teatralnych: krakowskiej i lwowskiej.

Piękność obu nie ulega zaprzeczeniu. Wprawdzie w ostatnich czasach, wskutek powstania nowych prądów w sztuce, zrodziła się reakcja przeciwko pewnym typom i stylom twórczości, co daje niekiedy pobudkę do ignorowania dzieł, nie dających się podciągnąć ściśle pod nowe formuły, lecz, zdaniem naszym, przykładanie do dzieła sztuki miary doktrynerskiej, prowadzi zawsze do skrzywienia sądu o wartości pracy twórczej, decydują bowiem o niej nie formuły, lecz talent i wykonanie.

W kurtynie lwowskiej szczególnie, symbolistka wypływa ze szeregu Natchnienia, wyobrażonego przez malarza, jako postać główną obrazu, a będącego w jego przekonaniu źródłem wszelkiej twórczości artystycznej. Tuż przy nim, z dymów buchających z rozwarłej czeluści, wlatuje uskrzydłona, zachwycająca Wyobraźnia. Uosobienie Rozumu, przyodzianego hartowną zbroją Minerwy, upomina się o świadomość celów w tworzeniu, Na prawo zaś tłum, goniący za marami

szczęścia: Fortuna, Sława i Miłość, wkracza swem polotnem rozwichrzaniem niemal w dziedzinę modernizmu, zrównoważonego jednak klasycznie stworzoną figurą Historii, w której umyśle widok tego, co było i jest, budzi rozważne, a zarazem smutne pytanie: „Czy tak będzie zawsze?“ Tendencję olbrzymiego płótna, nawskroś indywidualną i odzwierciedlającą wiernie poglądy malarza na sztukę w ogólności, uzupełniają pysznie scharakteryzowane postacie: Tragedyi, Komedyi, Dramatu lirycznego, Poezyi, Muzyki, Opery komicznej i Tańca. Pomimo prawdziwej harmonii układu, pomimo prawidłowej, konsekwentnej i skoncentrowanej udatnie kompozycji, z całości wieje świeżość i młodość—coś, co możnaby nazwać igraszką mistrzowskiego pendzla, swobodnie i bez wysiłku „przemawiającego“ do publiczności. Istotnie pendzel Siemiradzkiego nietylko maluje, lecz i mówi. Artysta tak głęboko przejął się przeznaczeniem swego utworu, że uczynił go „scenicznym“, w znaczeniu, jakie nadajemy wyrazowi, gdy określamy znaczenie i rodzaj teatralnego dzieła. W zasłonie jego mieści się wstęp do odegrać się mającej tragi-komedyi, urozmaiconej śpiewem i baletem, przy akompaniamencie pełnej orkiestry—coś niby prolog, wygłoszony nie słowem, lecz farbami. Jak obraz Siemiradzkiego najnowszy, tak i jego twórca, promienieje czerstwością młodzieńczą. Wprawdzie przedwczesna siwizna przyproszyła mu czarne włosy śniegiem białym, lecz w oczach pali się ogień zapału, zapowiadający długą pracę w winnicy umiłowanej sztuki i długi szereg dzieł równie ponętnych, jak kurtyna teatru lwowskiego.

ŻYGMUNT SARNECKI.

Biuletyny o stanie zdrowia Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana.



Liwadya, dnia 22 listopada (5 grudnia), godzina 11 rano. Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan ubiegłą dobę spędził zupełnie dobrze. Wieczorem temperatura 37,0, puls 78; dziś rano temperatura 36,1, puls 68. Okres rekonwalescencji ma przebieg zupełnie prawidłowy.

Lejb-chirurg *Hirsch*, honorowy lejb-medyk *E. Popow*, lekarz *Tichonow*.

Liwadya, 23 listopada (6 grudnia), godzina 11 przed południem. Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan przez całą noc spał dobrze. Samopoczucie i usposobienie ducha bardzo dobre. Temperatura i puls normalne.

Lejb-chirurg *Hirsch*, honorowy lejb-medyk *E. Popow*, lekarz *Tichonow*.

Liwadya, dnia 24 listopada (7 grudnia), godzina 11 przed południem. Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan zeszłą dobę spędził zupełnie dobrze, temperatura i puls normalne, samopoczucie bardzo dobre.

Lejb-chirurg *Hirsch*, honorowy lejb-medyk *E. Popow*, lekarz *Tichonow*.

Liwadya, dnia 24 listopada (8 grudnia), godzina 11 przed południem. Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan w ciągu ubiegłej doby czuł się bardzo dobrze, część dnia przepędza po za łóżem, siły widocznie przybywają, temperatura i puls normalne.

Lejb-chirurg *Hirsch*, honorowy lejb-medyk *E. Popow*, lekarz *Tichonow*.

Liwadya, dnia 25 listopada (10 grudnia), godz. 11 rano. Najjaśniejszy Pan przepędził ubiegłą dobę pod każdym względem całkiem dobrze. Sen i apetyt bardzo dobre, temperatura i puls normalne.

Lejb-chirurg *Hirsch*, lejb-medyk honorowy *E. Popow*, lekarz *Tichonow*.

Nasze ryciny.



Kazimierz Wasilkowski: Bajka. „Bajka” *Kazimierza Wasilkowskiego* była w swoim czasie nagrodzona przez „Tygodnik Ilustrowany” na konkursie rysunkowym Tow. artystycznego. Motyw do swej kompozycji malarz wziął z utworu *Andrzeja Niemojewskiego* pod tym samym tytułem. Aby więc wyjaśnić treść alegoryczną rysunku, przypominamy na tem miejscu w kilku słowach treść tej „Bajki”: Bohaterem jest tam młody doktorant filozofii, który część najpiękniejszą życia spędził na studiach mozolnych, w bibliotekach, nie znając uroczego pacholęcia, zwanego Szczęściem, ani też Młodości—nigdy o nich od swych przewodników nie słyszał. Ale Młodość i Szczęście przyszły same do niego i wywabiły go z pracowni ponurej na świat Boży. Wtedy poznał je i pokochał, ale wówczas przyszło też i Życie, pełne trudów i mokołu, twarde, ciężkie, prozaiczne. Młodość i Szczęście radzą nad losem biednego doktoranta, ale nie poradzić nie mogą. Spotykają Białą Panią i do niej się o pomoc zwracają. Biała Pani (Śmierć) obiecuje, że wybawi nieszczęśliwego z rąk Życia. Obietnicy istotnie dotrzymuje. Życie napróżno już domaga się o niego. Doktorant w objęciach Śmierci znalazł spokój i ciszę. Tę właśnie końcową scenę „Bajki” wyobraża rycina *Wasilkowskiego*. Dwie postaci ulotne, pełne wdzięku i uroku—to Szczęście i Młodość. Biała Pani trzyma rękę na martwej piersi doktoranta. Na drugim planie spostrzegamy upostaciowanie

życia - silnego, potężnego starca z młotem w dłoni. Całość skomponowana jest nader zręcznie.

Grobowiec Syrokomli w obecnej postaci. W artykule p. t. „Cmentarz na Rosie” podaliśmy wizerunek pomnika Syrokomli, zdejmowany przed pół rokiem. W ciągu tego czasu grobowiec uległ gruntownej restauracji i przeróbce. Płyta grobowca wspiera się na sztucznej skale, krzyż podniesiono wyżej, a u stóp jego ustawiono lirę z białego marmuru. Liczne wieńce z napisami zdobią pomnik. Jeden złożono w roku 1897 w 35-tą rocznicę zgonu poety, drugi w 75-tą rocznicę jego urodzin w r. 1898. Załączony rysunek, zrobiony według fotografii, przysłanej przez p. W. Żebrowskiego, wyobraża grobowiec Syrokomli, oraz pomniki rodziny w obecnym ich stanie.

Konstanty Gorski: Pogrzeb Danusi. Ostatnia powieść *Henryka Sienkiewicza* już podczas tego, gdy wychodziła w „Tygodniku”, była materiałem do motywów malarskich. Obecnie umysł twórczy artysty wypatruje sceny najbardziej malownicze w „Krzyżakach” i bierze je jako pomysł do kompozycji swoich. Nic dziwnego, że uwagę artysty plastyka przedewszystkiem zwraca scena, pełna prostoty i uczucia, mianowicie „Pogrzeb Danusi.” Szczegółów literackich, dotyczących tego ustępu, chyba nie mamy potrzeby przypominać czytelnikom. Malarz, komponując swą ilustrację, nie zaniedbał ani jednego szczegółu, zaakcentowanego przez znakomitego pisarza. Wydobyl on ze słów kształty. Pochód pogrzebowy na tle boru odwiecznego, pełen melancholii i smutku, postać *Zbyszka*, przerażonego widmem śmierci—wszystko to składa się na nastrój, odtworzony nader umiejętnie.



Od administracji.



Prosimy Szanownych Prenumeratorów „Tygodnika” o jak najwcześniejsze nadsyłanie prenumeraty na rok przyszły, dla uniknięcia możliwej zwłoki i przerwy w odbieraniu pisma.



ODPOWIEDZI.



Sz. Pani Julia Dorożyńska w Eliażówce. Proszę zwrócić się do księgarni *Gebethnera i Wolffa* i podać dokładny adres, a księgarnia wyśle katalog „Biblioteki Teatrów amatorskich.”

P. Kamilli Med. Będzie drukowana prawdopodobnie nie prędzej, niż w pierwszych numerach r. p.

P. Maryi J. I o tem myślimy. Od N. R. będzie zmiana.

P. Leon B. Nie.



Grobowiec Syrokomli w obecnej postaci.

Ja—wicz. Utwór odesłaliśmy pocie, który nie dał nam dotychczas żadnej odpowiedzi.

P. Aleksandrowi N. w Warszawie. Kompletów „Tygodnika” od początku jego istnienia nie posiadamy i nie możemy wskazać, gdzieby taki komplet nabyć można. Chyba za pomocą ogłoszenia prywatnego.

Stała prenumeratorka „Tygodnika.” W tłumaczeniach książek dzieciennych lepiej jest spolszczać pisownię nazwisk, podając w nawiasie, lub dopisku pisownię oryginalną.

Janus. Nie przekracza poziomu popularyzacji.

P. Antoni Czubi. Epigramaty dowcipne, ale nie dość starannie wyrzeźbione pod względem formy.

P. Wacław M. Pracować warto; próbki jeszcze nie do druku.

Nieszczęśliwej kobiecie. Dla grafologa wystarcza każdy list parostronicowy, każda próba, byle nie przepisywanie. Na teraz wszakże należy się jeszcze wstrzymać z nadsyłaniem zapytań, wobec ogromnych zaległości.

Wygnanek. Możliwy do prywatnego sztabu, ale nie do druku. Rzeczywiście wiersz jest niewymuszony, ale zarazem niedołężny.

P. K. W. „Erynie”—nie. Wysoki nastrój, ale słabe środki.

P. B. Syp. „Tyś moją wiarą”—gładkie, ale nie nowe i nie świetne.

P. W. K. w Kaliszu. Wiersz „Jakoś smutno”—nie do druku.

Stałemu prenumeratorkowi w Lublinie. Opis tej wystawy, ze względu na jej drobne rozmiary i małe znaczenie dla rozwoju ogólnego tej gałęzi, okazał się zbyt cennym.

P. Witoldowi A. w Granicy. Imienia *Witolda* niema w żadnym kalendarzu i być nie może, gdyż nikt tego imienia nie był dotychczas kanonizowany. Kalendarze pomieszczają *Witolda* w spisie imion słowiańskich pod datą 12 listopada, wielu więc *Witoldów* tego dnia obchodzi imieniny.

P. A. T. Osoba, o którą *Sz. Panu* chodzi, nie mieszka w Warszawie, lecz za granicą. Dokładnie jednak nie umiemy Panu oznaczyć, gdzie przebywa.

Radomianka. Nienajgorsze, ale mało oryginalne w formie i treści.

Tuberoza Nr. 000. *Kazimierz Tetmajer* bawi obecnie w Krakowie.

P. A. Z. w B. Będziemy drukowali.

Bochnia. Można pisać, ale jak dotychczas, chyba dla własnej przyjemności. Może z czasem będzie lepiej.

Odwazna. Drukować nie będziemy. Rzecz jest miła i serdeczna, ale słaba pod względem formy.

P. Józef P. Rzeczy nastrojowe muszą posiadać formę bardzo wykwintną, inaczej nie robią wrażenia.

Kronika powszechna.

Polityka.

Już w poprzednim numerze „Tygodnika” wspominaliśmy, że rząd niemiecki nie chciał przyjąć prezydenta Krügera, który wobec tego z Kolonii zwrócił się do Holandii, gdzie go powitano gorąco. I tu wszelako rząd zachowuje wielką rezerwę. W parlamencie niemieckim zebrano się na interpelację z powodu nieprzyjęcia Krügera. Podczas dyskusji budżetowej poseł Sattler z partii narodowo-liberalnej zwrócił się do kanclerza z prośbą o wyjaśnienie polityki rządu. Polityka, którą rząd dotychczas prowadził, a która polegała na trójprzymierzu i na utrzymywaniu dobrych stosunków z Rosją, posiada uznanie stronnictwa mówcy, ale pragnąłby on otrzymać wyjaśnienie, dlaczego Krügera nie przyjęto w Berlinie. Obowiązkiem jest rząd kierować się w polityce interesami kraju, nie zaś sympatjami; w każdym razie jednakże faktem jest, że naród niemiecki stoi po stronie Burów. Konserwatysta Limburg-Stürum wyraża ubolewanie, że Krügerowi nie okazano poważania, jakie mu się należało; mówca sądzi jednak, że odpowiedź kanclerza rozwieje obawy na tym punkcie. Hrabia Bülow odpowiada w ten sposób: „Niemcy radziły republice Transwalickiej, aby się zdała na sąd rozjemczy, ale Krüger naprzód nie przyjął rady, a następnie, gdy sam chciał sądu, już było za późno. Co się tyczy przyjazdu Krügera do Berlina, to punkt ciężkości kwestyi nie leży w tem, czy przyjemnie lub nieprzyjemnie było Krügerowi spotkać się z odmową, lecz w tem, czy ów przyjazd byłby użyteczny dla interesów Burów i Niemiec. Mówca twierdzi stanowczo, że nie. Gdyby Krüger zjechał do Berlina, to owacze na jego część albo byłby bezcelowym fajerwerkem, albo zaszkodziłby zagraicznym stosunkom Niemiec. Niemcy zależą od Anglii nie więcej, niż Anglia od Niemiec, ale rząd cesarski nie myśli wobec Anglii grać roli Don-Kichota i wie, że po zakończeniu wojny południowo-afrykańskiej, interesy niemieckie będą zupełnie zabezpieczone. Rząd we wszystkich swoich czynnościach kieruje się tylko interesami państwa (huczne oklaski).” — Zdaje się, że Europie przybyło jedno nowe przymierze. Zwały się Anglia i Portugalia, a nawet uznano za stosowne jawnie zamianować przyjacielski stosunek. Eskadra angielska w zeszłym tygodniu udała się umyślnie do portu Lizbony, gdzie wyprawiono odpowiednie uroczystości. Równocześnie między Portugalią a Holandią nastąpiło silniejsze naprężenie stosunku. Do zerwania nie przyszło, ale obustronni posłowie opuścili stanowiska za urlopem. Znamionuje to w każdym razie sytuację, jaka się wytwarza około sprawy burkiej.

Z prasy polskiej.

Prawda: „Potrzeba reformy” (w krytyce) przez G. Daniłowskiego; Pamięt-

nik: „Zły sen”; „Listy petersburskie” przez B. Krzyżanowskiego; „Liberum veto” Salony literackie, Henryk Sienkiewicz (Szkic jubileuszowy) przez A. Drogoszewskiego. — *Niwa Polska:* „Bankructwo militarysty” przez S. K.; „Ostatnie chwile Juliusza Słowackiego” przez M. Synoradzkiego; „Cuda w Warszawie” przez Sigmę; „Prawda i czyn” przez ks. Ig. Charszewskiego. — *Biblioteka Warszawska:* „Powieści ludowe” przez A. Brücknera; „Młoda Polska” przez St. Kozłowskiego; „Obrazy Jana Malczewskiego” przez Stefana Popowskiego. — *Gazeta Polska* zapowiada w prospekcie, że zamiast dodatków tygodniowych, da w r. p. jako premium duże dzieło illustrowane p. t. „Historia XIX stulecia,” opracowane przy współudziale grona specjalistów przez Józefa Tokarzewicza (Hodiego). Prócz tego „Gazeta” ma wychodzić codziennie, nie wyłączając świąt i niedziel; „Z kraju” przez B. K. Świdę. — *Kurier Warszawski:* W. Rabski w felietonie zwraca uwagę na paskwile, drukowane w prasie galicyjskiej, i nastawia dążność pewnego odłamu tej prasy do obrzucania błotem ludzi i stosunków warszawskich. P. Rabski przypuszcza, że pobudki do tworzenia tych nieczemych fabrykatów wychodzą z Warszawy. Może być! — Prócz tego daje „Kur. War.” szczegóły o pierwszej interpretatorce Halki, pani Rostkowskiej, której portret daliśmy w ostatnim numerze Tygodnika, a która przebywa obecnie w przytułku św. Franciszka Salezego. W numerze niedzielnym „Kuriera” prócz kilku artykułów poświęconych 500 przedstawieniu Halki, spotykamy artykuł Kaprysa o potrzebie założenia w Warszawie Biblioteki publicznej dostępnej dla wszystkich. — *Kurier Codzienny* dał artykuł o Halce w ogródkach, na prowincyi, oraz w Poznaniu, Krakowie i Lwowie. — W słowie od redakcyi zapowiada „Kurier Codzienny” druk powieści Józefa Nowińskiego: „Życie i marzenie,” oraz przekład „Ognia” (Fuoco) d'Annunzia. — *Gazeta Warszawska:* „Upiory,” powieść. — *Krytyka lekarska:* „O kierunkach we współczesnej medycynie” przez d-ra A. Wrzóska; „Stosunek psychologii i psychiatrii,” studjum krytyczne przez d-ra A. Wiza. — *Przegląd filozoficzny* IV: D-r W. M. Kozłowski „Połączenia chemiczne ze stanowiska teoryi poznania,” d-r W.

Biegański „Geneza pojęć,” W. Witwicki „Psychologiczna analiza ambicji,” A. Mahrburg „Nowy słownik filozoficzny,” „Polemika,” „Autoreferaty,” „Sprawozdania,” „Sekeya” psychologiczna na zjeździe przyrodników w Krakowie.

Sienkiewicz w portretach.

Całą seryę portretów Sienkiewicza z różnych epok życia, poczynawszy od studenckiego mundurka, aż do czasów dzisiejszych zebrał zakład fotograficzny J. Mieczkowskiego i wykonał pamiątkową ich grupę na tle ważniejszych gmachów naszego miasta. Jest to bardzo dobra myśl p. A. Stypułkowskiego, kolegi szkolnego Sienkiewicza, zarządzającego zakładem Mieczkowskiego.

Zmarli.

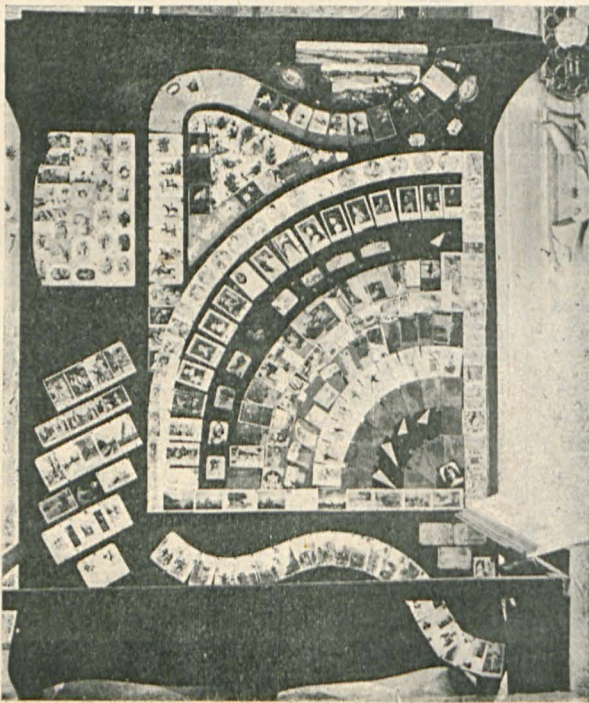
Tekla Płużańska, b. przełożona pensyi, zmarła dnia 19-go listopada w Warszawie, w 76-ym roku. Pracowała przez dłuższy czas życia na zaszczytnem, lecz bardzo trudnem, niewdzięcznem i mozolnem polu pedagogicznem, jako przełożona zakładu naukowego. Z całym zamiłowaniem i poświęceniem wywiązała się z trudnego zadania, a krzewiąc w młodocianych umysłach i sercach oświatę, szerzyła także wiarę, wszczepiając ten drogi skarb w sercu powierzonych sobie uczennic. Następnie ten sam zakład naukowy, w którym sama pracowała, oddała pod kierunek swej córki, pani Natalii Porazińskiej.

Zdeniek Fibich, jeden z najgłośniejszych kompozytorów czeskich, zmarł w Pradze. Urodzony w Szeborzycach pod Czesławiem w r. 1850, komponował już w 14-tym roku życia. Muzykę studyował najpierw w Wiedniu, potem w Pradze, Lipsku i Paryżu. Od r. 1871 mieszkał stale w Pradze.

Perły baroko.

Zwykli jubilerzy rutyniści uznają

jedynie perły foremne o prawidłowym zarysie. Można jednak nader pięknie spożytkować perły dziwaczne. Przeglądając np. wystawy jubilerskie pierwszorzędnych złotników paryskich, jak Fontana, Sandoz, Templier etc., u których robotnicy do prawdziwych artystów zaliczeni być mogą, natrafiamy piękne i bardzo zbytkowne klejnoty, polegające głównie na osobliwego kształtu perłach. Perły te same przez się byłyby nawet brzydkie, a umiejętnie spożytkowane nie mają ceny. U jubilera Templier znajdujemy np. klejnot, który prawdziwy zaszczyt przynosi zarówno rysownikowi swemu, jak i wykonawcy. Jest to wspaniały bocian, główna ozdoba wiszącej złotej dewizki (chatelaine). Korpus bociana to jedna olbrzymia perła; szyja, głowa i uda, także perły, łączą się z korpusem w sposób jak najnaturalniejszy. Zdawałoby się, że każda z tych części była wykonana sztucznie i umyślnie. Ciekawszych rzeczy w tym względzie dowiadujemy się z wydawanego przez rząd amerykański „Bulletin of the United States Fish Commission” (rok 1897). Znajdujemy tam pracę, specjalnie nieprawidłowym perłom poświęconą, w której między innemi widać odтворzenie imbryczka do kawy. Pochodzi on z pracowni złotnika nowojorskiego, słynnego Tiffany. Ucho, dziób i brzusek imbryczka przystrojone są trzema ogromnemi perłami najosobliwszego wyglądu. Ta sama firma Tiffany wystąpiła z własnym pawilonem na wystawie chicagowskiej, w którym między innemi zaprodukowała się kolekcją pereł nieforemnych. Podobnej nigdy nie widziano. Jedne z tych pereł miały formę wydłużoną, niby ziarnka zboża, inne kształt buteleczek, albo klingi od pałasza, młotka o dwóch główkach, inne wreszcie zrastały się bliźniaczo. Obfitość i różnorodność kształtów była nadzwyczajna. W jednym z późniejszych roczników wspomnianego „Bulletin” powrócono znów do kwestyi pereł „baroko,” jak je nazywają. Przedstawiono całą planszę z rysunkami posążków i motywów dekoracyjnych, pochodzących z jubilejny Heitel w Hanau. We wszystkich rysunkach perła baroko stanowiła istotną część klejnociku. Taka np. figurka Don Kiszota, którego kaftan jest jedną perłą, dającą wyborne złudzenie polyskującego jedwabiu. W drugim znów posążku, wyobrażającym archanioła Michała, który przebijają smoka, smok jest jedną pokreconą perłą. Trzeba sporo pomysłowości i gustu, żeby umieć skorzystać z pereł-potworków. Nie zaprzeczając wysokiej zresztą wartości pereł o kształtach tak prawidłowych i pięknych, że dla osiągnięcia efektu wystarcza poprostu naciągnąć je na nitkę, musimy zaznaczyć, że perły baroko, szczególnie w sposób powyższy oprawne, w olbrzymiej są cenie i gorących znajdują amatorów. Gust ten od lat kilku rozwija się ogromnie.



Ekran p. Romany Święckiej, odznaczony nagrodą publiczności na wyst. kart pocztowych.

Humor i satyra.*Stopniowanie.*

Baronowa. Wszystkie te fotografie wyobrażają mego małżonka. Tutaj widzi go pani jako dziecko, tutaj jako mężczyznę, a tu—jako barona.

Kobieta wtedy dopiero powinna wie-
rzyć, że się starzeje, gdy najlepsze
przyjaciółki zapewniają ją, że wyglą-
da „jeszcze“ bardzo młodo.

Z katedry.

Historyk rzymski, Tytus Liwiusz, ro-
dził się w Padwie od r. 59 przed Chry-
stusem do r. 17 po Chrystusie.

Każdy winien być sobą — piękny to
sposób zostania kimś.

Wiecznie roztargniony.

— Cały wieczór wczoraj mowiliśmy
o panu, panie profesorze. Czy nie dzwo-
niło panu w uszach?

— Nie; wczoraj wieczorem nie byłem
w domu.

Słynne prawo o powtarzaniu się wy-
padków objawia się i w tem, że mu-
simy każde głupstwo popełnić przy-
najmniej dwa razy.

Stary ród.

— Rodzina pana hrabiego należy
podobno do najstarszych rodów szla-
checkich?

— Tak jest. W naszych archiwach
rodziny są weksle przedawnione
już od setek lat.

Skromny.

Poeta, wysyłający pocztą utwory
swoje do redakcyi: — Bogu dzięki, że
choć pocztą przyjmuje moje poe-
zye!

Pomiędzy „tak“ a „nie“ bieży płaska
droga, nazywana zazwyczaj złotą dro-
gą pośrednią; jest to ulubiona prze-
chadzka ludzi tchórzliwych i poło-
wiecznych.

Nie należy nigdy mówić źle o nie-
obecnych—dopóki obecni dostarczają
jeszcze dostatecznego materiału.

Lista strat z wojny w przyszłości.

Polegli w potyczce z d. 15-go b. m.:
1 oficer, 8 żołnierzy, 13 reporterów, 15
fotografów.

Nie jeden myśli, że ma dobre serce,
a ma tylko słabe nerwy.

Szczęśliwi ci pesymiści! Jakąż ra-
dostę odczuwają, ilekroć mogą dowieść,
że radość nie istnieje.

Gdy literat ma dzisiaj dobry pomysł,
pisze komedję. Gdy ma pomysł zły,
pisze tarsę. Gdy zaś nie ma pomysłu
wcale, pisze libreto.

Gdy ludzie mówią o kim, że ma
szczęście, to znaczy, iż nie chcą uznać
jego zasługi.

Zdradzanie męża jest takie kłopotli-
we, że łatwiej niemal przychodzi być
mu wierną.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi Tygodnika ilustrowanego.

Dzieci w dawnych czasach. 20 obrazków z dzie-
jów naszych, z różnych autorów zebrał Wł. Belza.
Jest to druga książeczka w podobny sposób uło-
żona, która się ukazuje tego roku, a jednak treść
obydwóch nie spotyka się z sobą. W pracy M.
i N. „Z różnych chwil“ mamy epizody i ludzi histo-
rycznych, tutaj wyłącznie dzieci. A więc: Szew-
czyk Kuba (czasy Krakusa), Królewicz Bólko (Krzy-
wousty), Działwa Głogowska, Leszek Biały, Za-
ślubiny dwojga dzieci (Jadwiga), Młodość Jagiel-
lonów (dzieci Kazimierza), Święty Kazimierz, Hal-
szka Jagiellonka (siostra Anny i Katarzyny), Kle-
mens Janicki, Orszula Kochanowska, Książę Sie-
rotka, Przypoda Macieja Strykowski, Karol
Chodkiewicz, Młodość Tomasza Zamojskiego, Mło-
dzież krakowska (oblężenie przez Szwedów), Kró-
lewicz Władysławek (syn Władysława IV), Mło-
dość Sobieskich, Adaś Śmigieński (czasy Sobie-
skiego), Zgubione dziecko (Marya Leszczyńska),
Biskup Szaniawski, Franciszek Karpiński. Jak
widzimy, opowiadania ułożone są w chronologicz-
nym porządku, a ze względu, iż należą do kilku-
nastu autorów, różnią się dość wyraźnie zarów-
no wartością, jak stylem i językiem, co sprawia,
że nie wszystkie dla jednego wieku młodzieży zda-
ją się być przeznaczone. Pierwsze są najłatwiej-
sze, i dzieci 10-letnie czytać je mogą z zajęciem;
niektóre jednak, jak Młodość Sobieskich, lub To-
masza Zamojskiego, dość trudnym zresztą pisane
stylem, dopiero przez starsze dzieci, około lat 14-u,
rozumiane i z zajęciem czytane być mogą. Nie
zmniejsza to wartości książki, która sprawia wra-
żenie bogatego skarbca pamiątek dziejowych, za-
ledwie dotkniętego, i zdaje się, że to początek
bardzo pięknego pomysłu, który niewątpliwie wy-
konanym będzie w dalszym ciągu. Niektóre tylko
powiastki zaliczyć trzeba do słabych, np. Święty
Kazimierz, gdzie nie znajdziemy ani prawdy psy-
chologicznej, ani historycznej. Wobec bogactwa
materiału, z korzyścią dla książki możnaby je
łatwo zastąpić innemi.

Dzieciom na pamiętkę. Wiazanka z dziejów
Polski, spuścizna po Stanisławie Jachowiczu, uzu-
pełniona przez Sewerynę Duchinską i Kazimierza
Glińskiego.—Są to rymowane dzieje królów pol-
skich, poprzedzone króciutkim wstępem geogra-
ficznym — przyrodniczo — obyczajowym, malującym
epokę przedhistoryczną. Postacie kilku pierwszych
zwłaszcza królów (Gnuśnego, Śmiałego, Hermana,
Mieczysława Starego, Wstydlivego i innych) nie
odpowiadają dzisiejszym na nich poglądom, poda-
wanym nawet dzieciom. Dalej zaciera się ta bez-
krytyczność, ale często wiersz sam przez się nie-

dość jest zrozumiały dla małego czytelnika i wy-
maga uzupełnienia. Portrety wszystkich królów
ilustrują książeczkę.

Julia Piasecka: Wspomnienia Haliny.—Cztery
powiastki, stanowiące ładny podarunek dla dzie-
wczyny od lat 12. Treścią pierwszej jest poprawa
rozkapryszonej i samowolnej jedynaczki pod do-
brym wpływem koleżeństwa. Halinka początkowo
od dobrego stroni, lgnie do złych koleżanek, bo
jej pochlebiają, bo tu może odgrywać większą ro-
lę, ale wplątana przez nie w żart złośliwy i kłam-
stwo, cofa się z oburzeniem, wstrętem i wstępuje
na drogę prawdy, miłości i czynu — *Złoty pieniądz*
to obrazek z życia ubogiej rodziny stolarza. On
i mały Władek zbierają grosz każdy do skarbonki,
na wyleczenie siostrzyczki Anielci, która nie mo-
że chodzić. Dzieci sąsiada, zamożnego doktora,
wzruszone losem Anielki i szlachetnością Władka,

pomagają im w tem zadaniu, i dziewczynka szczę-
śliwie odzyskuje zdrowie. — *Ciotka Iza*, najpoważ-
niejsza i najładniejsza z powiastek, maluje życie
kobiety, która, nie mając nikogo z najbliższych,
kocha i służy wszystkim, którym pożyteczną być
może. Jej dworek w małym miasteczku jest ochro-
ną i szkołą dla wszystkich dzieci, ale najmocniej
przywiązała się do Niny, sieroty, która szczegó-
lnym przypadkiem znalazła się na świecie sama
jedna. Najlepsza matka nie mogłaby więcej po-
święcić dla niej, gdy jednak Nina odzyskuje ojca
idzie za nim szczęśliwa i swobodna, a ciotka Iza
zostaje znów sama. Wprawdzie wychowanka po-
wraca raz jeszcze, ale tylko na jej grobie pomo-
dlić się już może. — *Spełnione przyrzeczenie* uczy,
jak wyrządzoną krzywdę nagrodzić należy i jak
słodki owoc daje spełnienie obowiązku.

Jadwiga Warnkówna: Władzio nad morzem,
dla dzieci od lat ośmiu. I starsze jednak dzieci
zajmie niewątpliwie to opowiadanie, pełne prostoty,
a zarazem zajmujące i nauczające. Oprócz
najdostępniejszych wiadomości o morzu, opisu Po-
łogi i jej okolic, dziecko spotyka tu co chwila jakieś
zajmujące podanie litewskie, jakąś myśl szla-
chetną, we właściwej szacie mu podaną. Więc
i trochę historii z powodu Biruty, i obyczaj me-
wy, i życie rybaka, i połów bursztynu, oraz jego
obrobienie, i legendy, zaczawszy od Adama, i mo-
ralne przypowiadki i zabawy, mniej może znane.
Zaleca także książkę styl jasny, prosty i poprawny,
który jest właściwością tej autorki.

Album pisarzy polskich (współczesnych) ze-
brał i objaśnił Stefan Demby. — Jako naturalne
uzupełnienie „Albumu pisarzy polskich nieżyją-
cych“, zjawiało się wymieniane w tytule „Album
autorów współczesnych“. Zawiera ono przeszło 150
portretów, objaśnionych krótkimi, ale wymowne-
mi notatkami informacyjnymi. Zauważyliśmy
wszakże brak kilku wybitniejszych postaci; po-
chodzi to jednak stąd, że, jak wydawca pi-
sze w przedmowie, nie wszyscy nadesłali
notatki autobiograficzne, a redakcyja „Albumu“
chciała się opierać tylko na materiale auten-
tycznym, czerpanym z pierwszej ręki. W nadziei,
że braki te dadzą się wypełnić w przyszłości, re-
dakcyja „Albumu“ zapowiada jeszcze jedną serję
wydawnictwa, do której wejdą pisarze pominięci
w seryi obecnej. Album wydane jest starannie
i, jako jedyne niemal źródło informacji, dotyczą-
cych pewnej sfery naszego życia umysłowego,
powinno cieszyć się zasłużonem powodzeniem. y.

Naokoło świata. Pięknego tego wydawnictwa
obrazowego wyszedł obecnie zeszyt V rocznika dru-



giego i zawiera 8 widoków z Belgii, wykonanych nader artystycznie w kolorach, według oryginalnych zdjęć fotograficznych. Obszerny tekst objaśniający napisany przez prof. M. Lityńskiego. Cena zeszytu wynosi tylko jedną koronę. Do nabycia w każdej znaczniejszej księgarni lub w redakcji (Lwów, Pasaż Hausmana).

Zakład fotograficzno-typograficzny M. Greima w *Kamieńcu Podolskim* wydał seryę *kart pocztowych*, z najpiękniejszymi widokami tego malowniczego miasta.

Walery Przyborski: Sokół królewski.—Jest to wydanie drugie powieści historycznej, osnutej na tle epoki panowania króla Zygmunta Augusta.

Kalendarz Myśliwski Ilustrowany na rok 1901, wydany nakładem i pod redakcją „Łowca Polskiego.”—Wydawnictwo „Kalendarza Myśliwskiego,” prowadzone dotychczas przez firmę B. Ronczewskiego, przeszło na własność „Łowca Polskiego.” „Kalendarz,” wydany obecnie staraniem nowej redakcji, odznacza się umiejętnym układem przedmiotów i wielką obfitością wskazówek, interesujących ogół myśliwych naszych.

NADESŁANE.

OPUŚCIŁ PRASĘ

szczegółowy katalog

wydawnictw Gwiazdkowych

KSIĘGARNI

Gebethnera i Wolffa

KTÓRY, NA ŻĄDANIE, DOSTARCZANY JEST GRATIS I FRANCO.

PRAWDA

tygodnik polityczny, społeczny i literacki, programem swolm obejmuje wszystkie dziedziny życia, wiedzy, literatury i sztuki. Do numeru tygodniowego przy końcu każdego kwartału dołączany jest dodatek sześciokartkowy. W r. 1901 w dodatku wychodzić będzie: „Obraz cywilizacji w XIX stuleciu.” W roku bieżącym ukończony został w dodatku druk niezmiernie zajmującej pracy Maksimowa: „Syberia i ciężkie roboty,” 3 tomy, z których każdy stanowi oddzielną całość. Do nabycia w redakcji po cenie 1. rub. 20 kop. za tom. Cena prenumeraty „Prawdy” rocznie: w Warszawie rub. 8; na prowincji i w Cesarstwie rub. 10. Adres: Sadowa 14, Warszawa. Wydawca i Redaktor A. Świętochowski.

WIELKI WYBÓR

ALBUMÓW DO KART POCZTOWYCH

własnego nakładu poleca skład papieru, ksiąg buchalteryjnych St. Winiarskiego
w Warszawie, Nowy-Świat № 53, Telefonu 1143.

Nowe, praktyczne i pożyteczne

wydawnictwo ROMANA KREZMERA

„RĘKODZIELNIK AMATOR”

I tom zaw. 179 rysunków i obejmuje działy następujące: Kilka słów o tak zwanych odpadkach. Tektura i bibuła. Papier maché. Wyroby z gipsu. Wyroby z tektury. Ozdabianie wyr. tekt. Introligatorstwo, naklejanie map i oprawa obrazów. Ognie sztuczne i iluminacje (Pyrotechnika). Fotografia (Metoda mokra czyli kolodionowa. Metoda sucha czyli emulsyjna). Galwanoplastyka. Złocenie szkła i srebrz. zwierciadeł. Emalia i glazura; wyrób szrotu; wyrób stempli kauczkowych; zegarmistrzostwo; wyrób atramentów.

Cena I-go tomu w oprawie rub. 1 kop. 50.

II tom zawiera 440 rys. i obejmuje działy następujące: Kowalstwo; ślusarstwo; ciesielstwo; wyroby z łożysk i galęzi; stolarstwo; malowanie drzewa; laubzga i mozaika; tokarstwo; rzeźba; koszykarstwo; szrotkarstwo; kwiaty sztuczne.

Cena II-go tomu w oprawie rub. 2.

Każdy tom nabywać można oddzielnie. Sprzedaż wszędzie. Składy główne: w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie, Łodzi i Krakowie, oraz u wydawcy w Admin. „Kuryera Świątecznego” Wielka 33.

41-szy rok istnienia

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE
z oddzielnym dodatkiem dla małych dzieci
naucze i rozrywce młodzieży poświęcone.

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedijki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część ilustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Premium bezpłatne: książka.

Co tydzień zadanie do nagrody.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rb. 1, rocznie rb. 4. Na prowincji kwartalnie rb. 1 k. 25, rocznie rb. 5.

Redaktor Jan Skiński.

Warszawa, Chmielna 26.

Na żądanie wysyłamy numer okazowy.

Jedynę, najtańsze pismo polskie humorystyczno-satyryczne

Kuryer Świąteczny

zasilane przez wybitne siły literackie i pierwszorzędną malarzy w kraju i zagranicą, wychodzi co niedziela i święto. Cena w Warszawie rocznie z dostawieniem rub. 3 kop. 60. Cena z przesyłką pocztową rocznie rub. 4 k. 60.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Wielka № 33.

CZYSTA 2, ZEGARMISTRZ
F. WORONIECKI

poleca towar uregulowany
po cenach przystępnych, oraz
przedmioty precyzyjne i modne.

Także łańcuchy i dewizki. Ceny
względne. Odpowiedzialność po-
ważna. Wybor wielki. W dwie nie-
dziale przedgłazdkowe, t. j. d. 16
i 23 od godz. 2 do 7, będzie sklep
otwarty.

Wydawnictwo Romana Kreczmera.

Album Pisarzy Polskich Współczesnych

w opracowaniu przez St. Dembego, zawiera 155 portretów i tyleż biografii najcenniejszych naszych literatów dzisiejszej doby. Cena egz. w suto złoc. opr. rb. 2.

ALBUM PISARZY POLSKICH

zawierający 80 portretów od Św. Wojciecha do Asnyka, wykonanych przez art. mal. H. Piątkowskiego, z tekstem przez St. Dembego, na ang. kred. papierze. Cena egzempl. w ładnie złoc. oprawie rub. 1 kop. 50. Składy główne: w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie, Łodzi i w Krakowie u Gebethnera i Sp.

**Bogata i uytworna
BIŻUTERYA**

jako to: Pierścionki, Brosze, Koleczki,
Bransolety.

w ogromnym wyborze
po cenach niskich

u M. WRZESNIEWSKIEGO
Plac Teatralny 9 (d. Stępkowsk.)

Świeże Trany

poleca Warszawskie Towarzystwo Akcyjne Hand. Towar. Aptecz.
dawniej Zjednoczeni Aptekarze i

Ludwik Spiess i Syn.



**Dom Handlowy
Augustynowicz & Co.**

poleca na nadchodzącą Gwiazdkę
swoje największe w kraju składy
Zegarków i Zegarów
przy ulicy Hr. Berga Nr. 0
oraz jedyny wybór Bronzów francuskich
na Podarki, jakoto:
Figury — Biusty — Statuetki — Kolumny etc.
Towar realny — Piękny — Ceny niskie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

TANIE WYDANIE DZIEŁ

Wiktora Hugo

„Pracownicy morza” 4 tomy, 90 kop., w ozdob. oprawie rub. 1 kop. 20, z przesyłką o 20 kop. drożej. „Kościół Panny Maryi” 4 tomy, 75 kop., w ozdob. opr. rub. 1 kop. 10, z przesyłką o 20 kop. drożej. „Nędznicy” 10 tomów, rub. 1 k. 80, w ozdob. opr. rub. 2 k. 50, z przesyłką o 30 kop. drożej. Wypisujący wszystkie trzy dzieła razem w księgarni S. Bukowieckiego, Marszałkowska Nr 100, w Warszawie, kosztów przesyłki nie ponoszą. Księgarnia dostarcza również wszelkich innych książek i nut, oraz pism peryodycznych.

Towarzystwo Ubezpieczeń „Przezorność”

w WARSZAWIE,

przyjmuje ubezpieczenia życiowe i od następstw wypadków (jednostkowe i zbiorowe).

BIURO DYREKCJI: Krakowskie-Przedmieście № 7.

Jan Wdziękoński dentysta

przeprowadził się na ulicę Hortensya Nr. 7 m. 3.
Plomby emaliowe (kolor naturalnego zęba).

SKŁADY DO PRZECHOWANIA MEBLI Z GWARANCJĄ ZA CAŁOŚĆ

**„SYRENA” KRAK. PRZEDM.
N° 38**

**ZAKŁAD PRZEWOZU I OPAKOWANIA
MEBLI, WAGONY MEBLOWE.**

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny saliniczny środek przeczyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniająco. Na 10 wystawach powszechnych złotymi medalami odznaczona. Jest wszędzie.

NAJWIĘKSZY WYBÓR

Ubrań Dziecinnych

w Magazynie „JANINY”

MARSZAŁKOWSKA № 151.

Lekarz dentysta A. ZAWADZKI

Jerozolimka 49, róg Marszałkowskiej.

„GARDE-MEUBLES”

A. Wróblewski i S-ka

TRĘBACKA 3.

NOWY-ŚWIAT 12.

Wydawcy Gebethner i Wolff.

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Redaktor Dr Józef Wolff.

Redaktor przyjmuje codz. rano, z wyjątkiem świąt, w biurze redakcji, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Довозено цензурою, Варшава, 28 Ноября 1900 года.